

## AL Dyhernfurth

Wyjechałem z Gross-Rosen w piątek, 14 stycznia. Oczywiście nie pamiętałem daty, pamiętałem, że to był piątek, czyli dzień Hitlera. Jak wtedy, kiedy na Polskę napadł. Mnie prześladowały wtorki i piątki. Moje pechowe dni. W mojej pierwszej relacji o Gross-Rosen w 1947 roku napisałem, że do Dyhernfurthu przyjechałem 10 stycznia. Kiedy jednak sprawdziłem, że to był poniedziałek, a pamiętałem, że przyjechałem w piątek, zmieniłem datę na prawdziwą – na 14.

Jechałem zamknięty w tej samej furgonetce, którą kiedyś przyjechałem do Gross-Rosen. Zamknięty z czystą bielizną i jakimiś szmatami i buciorami. Przed wsiadaniem stał niedaleko Gottlieb Kaiser. Gdyby oczy mogły zabijać, to chyba obaj byśmy tam wtedy poginęli. Nie wiedziałem, że już go nie zobaczą więcej, ale też nie wiedziałem wtedy, że zginie dokładnie tak, jak mu tego życzyłem podczas naszej kłótni na placu.

W połowie 1944 roku miał następnego dnia zostać zwolniony z obozu. Tej ostatniej nocy jego koledzy, sami zieloni bandyci i szyszki obozowe, poprosili go jeszcze raz na karty. Ale on ich jeszcze ograł. Tego nie mogli mu darować, miał poza tym dużo swoich pieniędzy. Zabili go, odrąbali głowę i utopili w basenie przeciwpożarowym. Eschner pamiętał przecież tę kłótnię, był przy tym. Poszło na Polaków. Dopiero koło południa znaleziono siekiere i winowajców. Pięciu Niemców powieszono. Tymczasem zaraz rano wezwano mnie w Dyhernfurth do komendantury. Przyjechał z Gross-Rosen Hauptsturmführer Treske, szef politycznego wydziału, czyli obozowego Gestapo. Zawsze chodził w cywilu. Tym razem był w mundurze i początkowo go nie poznałem. Zaczął mnie wypytywać, komu w Gross-Rosen poleciłem wykonywanie sabotaży i zbrodni. Byłem zaskoczony i zdumiony, ale roześmiałem się i powiedziałem, że teraz naprawdę nie obchodzi mnie Gross-Rosen. Mam tu swojej pracy dość, z Gross-Rosen nie mam żadnego kontaktu i nic nie wiem, o co chodzi. Taka rozmowa o wszystkim i o niczym trwała prawie godzinę. Wmawiał mi, że jakoby w Gross-Rosen są jakieś organizacje buntownicze polskie i ja mam podać kto i jak. Przypuszczałem, że może ktoś na czymś wpadł, albo jakaś sprawa napuszczona przez Eschnera, ale zaprzeczałem wszystkiemu. W tym czasie odwołano Treske do telefonu. Kiedy wrócił, kazał mi iść do obozu. Nie dowiedziałem się, o co chodziło. Dopiero po paru dniach, od nowych cugangów dowiedziałem się o tym, co zaszło. Od tego czasu straszyłem niemieckich kapo. Uważaj, bo mam zły język i mogę ci przepowiedzieć jak Kaiserowi.

Do Dyhernfurthu przyjechałem po południu. W obozie był duży ruch, bo już drugi dzień przyjmowano duży ponad 600-osobowy transport Żydów polskich. Do kancelarii wezwano zaraz dr. Jachnę. Okazało się, że ja jestem tylko jego zmiennikiem. On musiał jechać z powrotem. Cieszył się i wspominał, że

tu było mu bardzo źle, że był bardzo źle traktowany i nawet bity przez kapo rewiru Sarokiego. Niewiele mogliśmy rozmawiać, bo auto wyładowało już swoje towary i pojechali po niego. Nie pojechał jednak do Gross-Rosen. Pojechał wtedy do komanda Lissa, gdzie przebywał aż do ewakuacji jako lekarz już wtedy dość rozbudowanego komanda. Nikt nie wie jednak, co się z nim stało po ewakuacji. Tam zmienił dr. J. Jabłońskiego, którego ponownie odesłano do Oświęcimia. Trudno jest się dziś zorientować w sensie tego przerzucania niektórych więźniów.

Obóz, w którym się znalazłem, nazywany oficjalnie Aussenkommando Dyhernfurth II lub krótko Lager Elfenhain, rozmieszczony został w pobliżu budowanej tam dużej fabryki chemicznej „Anorgana”, w oddaleniu około 500 metrów od wejścia głównego, około 60 metrów w bok od szosy w kierunku Wołowa, w rzadkim lasku sosnowym. Teren obozu był niewielki, jakieś 200 x 250 metrów. Ogrodzenie typowe podwójne, z drutu kolczastego rozpiętego na betonowych słupach, pod napięciem elektrycznym. Zabudowa baraków na zewnątrz dość solidna, betonowa, jednopiętrowa, ale tandetnie wykonana, bez podpiwniczenia, bez strychów, z prawie płaskimi dachami. Baraki bez kominów, a zatem na pierwszy rzut oka widoczne, że bez ogrzewania. Tylko część baraków wykończona i zamieszкана. Reszta jeszcze w budowie, w różnych stadiach. Otoczenie rozkopane, mnóstwo błota i bałaganu. A więc znów Aufbaulager. Takie obozy są najgorsze, bo więźniowie muszą pracować podwójnie. W dzień pracują około 10 do 12 godzin na rzecz firmy, która ich wynajęła do pracy, a potem budują obóz dla siebie, wykańczając się pracą dzień i noc.

Nie znałem dotychczas żadnego podobozu, tzw. Aussenkommando, z autopsji, jedynie z opowiadań kolegów, którym mogłem wierzyć. I tak kolega Żegleń opowiadał mi o komandzie Breslau-Lissa, gdzie przebywał od połowy sierpnia 1942 do 13 marca 1943 r. Kolega Dziaduś, z transportu oświęcimskiego, i kolega Czarnek, z tego samego transportu, obaj studenci medycyny, opowiadali mi o komandzie Hirschberg, gdzie przebywali od samego początku, tj. od końca marca 1943 do końca października 1943 r. Wszędzie oni, pracując jako sanitariusze, nie byli zwalniani od normalnej pracy roboczej. Pracowali cały dzień na budowach, a wieczorem wykonywali prace sanitarno-lekarskie jako prace dodatkowe. Ponadto nikt się nie liczył z ich zdaniem ani ich opinią.

O komandach Dyhernfurth I i Dyhernfurth II słyszałem jedynie od kolegów, pracujących w kancelarii głównej, jak Doliński i inni. Miały to być komanda zamknięte, skąd nie ma już powrotu, bo te komanda miały pracować w fabryce chemicznej przy produkcji jakichś nowych gazów bojowych, stanowiących tajemniczą broń. W każdym razie dotychczas nikt stamtąd żywy nie powrócił. Przywozi się jedynie dość dużo zwłok do krematorium i na tej podstawie sądzi się, że to muszą być ciężkie obozy.

O obozach Fünfteichen i Treskau nikt nic jeszcze w Gross-Rosen nie wiedział. Zostały one założone dopiero na przełomie listopada i grudnia 1943 roku<sup>6</sup> i nic jeszcze o nich nie było wiadomym. Wiadomym jednak było już wówczas, że sam obóz macierzysty Gross-Rosen był obozem ubogo wyposażonym, o marnym wyżywieniu i ciężkiej pracy oraz o złym traktowaniu, obozem samych niedostatków. Zatem czyż można było sądzić, że w jego podobozach może być lepiej?

W tych początkach sądziliśmy jednak inaczej. Zawsze popełnialiśmy ten sam błąd; osądzaliśmy Niemców lepiej niż wskazywała na to rzeczywistość. Po prostu nieludzkość tego skrajnego typu, zaplanowana przez państwo, nie mieściła się w kategoriach ludzkiego myślenia. Wtedy rozumowaliśmy innymi jeszcze kategoriami. Myśleliśmy: Jeżeli Niemcy potrzebują jeńców wojennych i więźniów oraz internowanych do pracy, to zależeć im będzie na tej pracy i dadzą lepsze wyżywienie, i traktowanie powinno być lepsze. Ale rozumowanie niemieckie było z gruntu inne: tych ludzi można przed śmiercią wykorzystać, przyspieszyć ich śmierć przez ciężką pracę i dodatkowo zarobić.

Utrzymanie jednego więźnia w obozie kosztowało od 60 do 80 fenigów dziennie, wliczając w to nawet końcowe koszty kremacji. Natomiast firmy wypożyczające pracę więźniów płaciły SS po 4 RM dziennie za pracę więźnia niewykwalifikowanego, a odpowiednio więcej, do 6 lub nawet w wyjątkowych wypadkach do 8 marek za dniówkę pracownika wykwalifikowanego. Oczywiście były to stawki znacznie zaniżone w stosunku do płacy cywilnych niemieckich pracowników. Praktyka wykazała, że wydajność więźnia, wymuszana terrorem i krzykiem, była nawet wyższa od pracownika cywilnego. Ponadto więzień pracował dłużej niż można było żądać od cywilnych pracowników. W ten sposób zarabiała kolosalnie obie strony; i SS, i firmy zatrudniające więźniów. Zarobki te były tak wielkie, że opłacało się budować specjalne fabryki w pobliżu obozów lub nawet w samych obozach, jak np. w obozie Gross-Rosen Weberei i Siemens-Werke, nastawione jedynie na zatrudnienie chorych więźniów. Nawet więc chory więzień praktycznie do śmierci miał pracować dla wzbogacania Niemców.

Według oficjalnych danych obóz Gross-Rosen pod koniec 1943 roku zarabiał na pracy więźniów około 300 000 RM tygodniowo, a w drugiej połowie 1944 r. około 1 000 000 RM tygodniowo. Tak więc nawet małe komanda robocze były bardzo opłacalne. Przynosiły dochód gotówkowy, doraźny i przyczyniały się do eksterminacji elementu dla III Rzeszy niepożądanego. Było to zamierzone uzupełnienie polityki ludobójstwa, zamierzonego i organizowanego przez Niemcy hitlerowskie, wyliczone i opracowane przez fachowców narodowego socjalizmu i popierane przez olbrzymią większość posłusznego narodu.

---

6. Autor pomylił się, bowiem podobóz Treskau powstał nie później niż w sierpniu 1943, a Fünfteichen na przełomie września i października 1943 r.

Więźniów można było mieć tylu, ilu było potrzeba dla polityki niemieckiej. Skrupulatne wyliczenia wykazywały, że nie opłaca się leczyć chorych więźniów. Dlatego wyposażenie komand roboczych w obozach koncentracyjnych, zwłaszcza małych, było bardzo mizerne. Najlichsze pasiaki jako odzienie, a w miarę czasu wykorzystywanie ubrań po zmarłych i nie zmarłych, ubrań leżących w magazynach. Bielizna i buty dosłownie najgorszego gatunku i bardzo zniszczone. Najgorsze produkty żywnościowe, często dosłownie odrzuty nadpsute z magazynów wojskowych i spożywczych. Tak więc w komandach tych zapewniano jedynie najprymitywniejszą formę życia. Trudne warunki życia, zwłaszcza tak krańcowe, jakie panowały w tych komandach, nie stwarzały pogodnych stosunków między więźniami, raczej na co dzień zaostrzały straszliwą walkę o życie i byt. Jedynie w małych grupach więźniarskich, mniej zróżnicowanych pod względem narodowym i społecznym, panowały czasem bardziej ludzkie formy współżycia.

W tych warunkach podobozu pracy, wynajmowane dla poszczególnych firm przemysłowych, stawały się dla obozów koncentracyjnych macierzystych doskonałym interesem handlowym. Ponadto zwiększenie zatrudnienia przyspieszało masowe wyniszczenie więźniów i ułatwiało masowe ludobójstwo w wyrafinowany sposób. Po prostu człowiek musiał pracować aż do śmierci dla „wielkości III Rzeszy”. Trudno o bardziej nieludzki i cynicznie wyrafinowany stosunek człowieka do człowieka.

Rok 1944 stał się dla obozu Gross-Rosen rokiem szczególnego biznesu. Do stycznia 1944 roku, licząc od 2.08.1940 r., przez obóz w Gross-Rosen przeszło 15 000 więźniów i 2500 jeńców radzieckich. Zginęło około 6000 więźniów i 2450 jeńców, razem około 8500. Wyjechało w różne transporty około 3500 więźniów. Razem ubyło około 12 000. W obozie żyło zatem w styczniu 1944 r. około 5500 więźniów, z czego około 1500 chorych przebywało w rewirze i szonungu, a około 4000 pracowało w kamieniołomach i 5 ówczesnych Aussenkommandach. W ciągu jednego roku obóz wzrósł ponad dwudziestokrotnie. Na przełomie 1944 i 1945 roku stan obozu Gross-Rosen wynosił około 125 000 ludzi<sup>7</sup>, zmniejszając o ubytki wyżej podane oraz ubytki roku 1944. Ostatnim wydanym przez Gross-Rosen numerem bieżącym więźnia był numer 97 406<sup>8</sup>. Otrzymał go w lutym 1945 r. węgierski Żyd, Szandor Weisz. Poza

---

7. A. Konieczny ustalił, że 1.01.1945 r. w systemie KL Gross-Rosen znajdowało się 76 728 więźniów, a w całym okresie funkcjonowania przeszło przez niego około 120 tysięcy osób. A. Konieczny, *KL Gross-Rosen – hitlerowski obóz koncentracyjny na Dolnym Śląsku 1940-1945*, Wałbrzych 2006, s. 27, 40.

8. A. Konieczny w opracowanej chronologii transportów podaje, że około 26.01.1945 r. trzech więźniów otrzymało numery 97 412-97 414. *Stan badań nad numeracją więźniów w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen*, [w:] „Studia Śląskie”, XXXVI, Opole 1979, s. 189. Natomiast w rekonstruowanej kartotece więźniów występują jeszcze wyższe numery, np. nr 99 487 miał Zenon Urjewicz.

tym, od połowy czerwca 1944 do końca sierpnia 1944 roku wydano, zwłaszcza dla transportów mniejszych, tzw. numery powtarzane. Wydano ich łącznie około 20 000. W ciągu 1944 roku zorganizowano tzw. Arbeitserziehungslager (AEL)<sup>9</sup>, oddzielnie numerowany. Numerów tych wydano około 4500<sup>10</sup>. Liczba jeńców wojennych z lat 1941/42 nie przekroczyła 2500. Razem zatem przebywało w Gross-Rosen około 125 000 osób. Z tego w latach poprzednich zmarło około 6000, a w roku 1944 i 1945 dodatkowo około 35 000, przy czym w latach 1944-45 ciężar śmiertelności przeniósł się na komanda robocze, a śmiertelność w macierzystym obozie raczej zmalała. Równocześnie poprawiły się stosunki w macierzystym obozie. Jedynie na skutek coraz częściej nadsyłanych wyroków z Gestapo i różnych Sondergerichtów zwiększyła się znacznie liczba osób codziennie rozstrzeliwanych spośród więźniów i przywożonych osób cywilnych.

Około 100 000 ludzi pracowało codziennie na potrzeby i na dochód SS. Tylko około 6000 więźniów zatrudnionych było na miejscu w kamieniołomach i komandach dla chorych i rekonwalescentów, reszta przebywała w ponad 100 komandach roboczych. 67 z tych podobozów było czysto żydowskich, dwa tylko były mieszane, właśnie Dyhernfurth II i Fünfteichen. Z tych obozów aż 34 były kobiece<sup>11</sup>, żydowskie. Przebywało w nich ponad 26 000 Żydówek, nadzorowanych przez 906 wachmanek, kobiet należących do garnizonu grossroseńskiego. Trudno podać dziś dokładną cyfrę, niemniej wiadomym jest, że ogólna liczba Żydów w obozie Gross-Rosen wyniosła co najmniej 50 proc. wszystkich więźniów. Uszło to uwagi przeważającej części więźniów, dlatego że w macierzystym obozie Żydów nie trzymano, tylko w podobozach. Poza tym tylko mała część Żydów przeszła przez obóz macierzysty. Największa część przejmowana była z żydowskich obozów pracy przy poszczególnych zakładach i przez Stammlager Gross-Rosen nie przechodziła. Tak zatem tysiące więźniów Gross-Rosen nie znało tego obozu, inni dopiero po śmierci dowożeni tam byli do spalenia.

Punkt ciężkości obozowej niedoli przeniósł się w roku 1944 i 1945 na tzw. Aussenkommando; najcięższa praca, głód, terror, bicie oraz zwiększona śmiertelność. Śmiertelność w niektórych komandach roboczych dochodziła do tak wysokich granic, że na skutek interwencji poszczególnych zakładów pracy dochodziło nawet do badania przyczyn tego zjawiska i do ostrych zarządzeń władz obozu w Gross-Rosen. Tak było w styczniu 1944 roku w Dyhernfurth II.

9. Arbeitserziehungslager (AEL) – wychowawczy obóz pracy powstał pod koniec listopada lub 1 grudnia 1943 r. D. Sula, *Wychowawczy obóz pracy wrocławskiego gestapo 1942-1945*, Wałbrzych 2009, s. 17-18.

10. Z zachowanych dokumentów wynika, że w AEL wydano 4177 numerów.

11. Podobozów kobiecych było 41. *Filie obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Informator*, Wałbrzych 2008.

Tak było w lecie 1944 r. w obozie Fünfteichen. Ujawniono wtedy, że szczególnie w zakładach Kruppa Bertha-Werke opłacano kapów obozowych, aby przyspieszać cykle robocze. Robili to kosztem znacznego wyniszczania więźniów i zwiększania śmiertelności.

Niektóre z obozów roboczych Gross-Rosen, pracujące dla ściśle wydzielonych gałęzi przemysłu wojennego, miały charakter komand ściśle zamkniętych, nazywanych komandami śmierci. O wielu takich komandach do dzisiaj nic nie wiadomo. Po prostu zaginął po nich ślad. Z tych obozów w normalnych warunkach nie było już dla więźnia powrotu do obozu macierzystego. Nagłe załamanie się frontu w zimie 1944/45 zaskoczyło niektóre z tych komand, jak np. i oba komanda Dyhernfurth, tak że zostały ewakuowane w pośpiechu. Tam, gdzie było czasu dość, jak np. w Górach Sowich przy budowie bunkrów dla Hitlera, tam poginęły całe wielotysięczne komanda robocze.

Szpitalnictwo obozowe w Gross-Rosen doszło w 1944 i 1945 roku do znacznych rozmiarów ilościowych. Od 4 baraków szpitalnych i 1500 chorych na przełomie roku 1943 i 1944 i 3 lekarzy więźniów, doszło z początkiem 1945 roku do 6 baraków rewirowych z 3000 chorych i kilkudziesięciu lekarzami. Wyposażenie szpitalne do końca było jednak bardzo ubogie. Nie doszło nigdy np. do stworzenia porządnego laboratorium ani do zorganizowania aparatury rentgenowskiej. Nie można w żadnym wypadku Gross-Rosen porównywać z Oświęcimiem, gdzie można było w niektórych przypadkach w szpitalu obozowym leczyć niemal jak w klinice. Gross-Rosen w dziedzinie zaopatrzenia sanitarnego i medyczno-farmakologicznego znajdował się na jednym z ostatnich miejsc wśród obozów koncentracyjnych. W jednym tylko przodował Gross-Rosen. Poza eksterminacją radzieckich jeńców wojennych, za pomocą trucizn doustnych, przez lekarzy SS Entressa i Babora w 1941 i 1942 roku i poza zlikwidowaniem przez SDG Dehnela 10 chorych zastrzykami fenolu, nie doszło nigdy do zorganizowanej formy zabijania i dobijania chorych więźniów przez lekarzy SS i SDG. Jedynie dr Gibiński podaje, że w podobozie w Bautzen były pojedyncze wypadki zabijania chorych przez pełniącego obowiązki SDG SS-mana, za pomocą zastrzykiwania fenolu do cisterna magna. Z innych podobozów tego rodzaju doniesień nie było. Jednak są dowody na to, że wysyłano schorowanych i wyczerpanych więźniów, zwłaszcza żydowskich, do selekcji i komór gazowych w Oświęcimiu. Na przykład w miesiącach letnich (sierpień) skierowano do komór gazowych w Oświęcimiu co najmniej trzy kilkusetosobowe transporty więźniów, w tym około 300 Żydów z Fünfteichen, a w jesieni 1944 roku takie same transporty do komór w Bergen-Belsen, ponieważ komory w Oświęcimiu już nie działały. Tym niemniej sprawa ta nie przybrała w Gross-Rosen nigdy tak masowego wielotysięcznego wymiaru jak w innych obozach.

W Dyhernfurth, obecnie Brzegu Dolnym, w latach II wojny światowej I.G. Farben A.G. zbudował siłami jeńców wojennych, w tym i polskich, oraz cy-

wilnych pracowników duże zakłady chemiczne pod nazwą „Anorgana” I.G.F. Budowę prowadziła firma Baugesellschaft „Lurani” Ludwigshafen am Rhein, zatrudniająca dodatkowo kilkadziesiąt innych drobniejszych firm budowlanych. Zabudowano tereny od miasteczka wzdłuż Odry i szosy wiodącej w kierunku Wołowa, na przestrzeni około 3 km, bezpośrednio położone nad Odrą. Nie było na tych terenach mostu na Odrze, ze względu na niskie położenie i częste wylewy, był jedynie prom drogowy i most kolejowy na nasypie, dostępny jedynie dla wojskowych i kolejarzy. Gotowe budynki i laboratoria oddawano bezpośrednio do produkcji i do tego przywiązywano wielką wagę. Produkowano tam gazy pochodne i zbliżone do fosgenu, przede wszystkim dwa nowoczesne gazy bojowe – tabun i sarin, dla celów ściśle wojennych. Produkcja w lecie 1944 dochodziła już do rozmiarów 1000 ton miesięcznie. Zbiorniki były przystosowane do opróżniania awaryjnego do Odry. Te gazy miały być rewelacyjną, tajemniczą bronią Hitlera i powodowały porażenia nerwowe, utratę przytomności oraz ślepotę. Jako antidotum przechowywano olbrzymie ilości urotropiny i glukozy w zastrzykach, na wypadek awarii. Zapasy te były zgromadzone w ambulatorium zakładowym. Lekarz zakładowy mówił mi, że można i trzeba je stosować u pewnej kategorii narażonych pracowników, nawet profilaktycznie.

W fabryce tej założono dwa komanda Gross-Rosen. Dyhernfurth I, bezpośrednio w fabryce, ściśle odizolowane od otoczenia, a zatrudnione bezpośrednio przy pracach niebezpiecznych, związanych z napełnianiem bomb lotniczych i pocisków artyleryjskich tym gazem. Komando Dyhernfurth II, znacznie liczniejsze, umieszczone zostało na zewnątrz fabryki, w wybudowanym specjalnie obozie. Było ono w całości zatrudnione przy najcięższych pracach budowlanych i załadowczo-rozładowczych. Obozy te nie miały z sobą żadnego kontaktu, poza wspólnym komendantem.

Obóz Dyhernfurth I powstał wcześniej, już pod koniec wiosny 1943 roku. Początkowo liczył 100 więźniów, a pod koniec 1944 roku wzrósł znacznie, podobno do około 300 ludzi. Był umieszczony w środku fabryki, tuż przy rampie kolejowej, w dwóch murowanych i jednym drewnianym baraku. Całość była odrutowana podwójnie drutem kolczastym pod napięciem elektrycznym. Komendantem tego komanda od samego początku był jeden z najgorszych SS-manów grossroseńskich SS-Unterscharführer Karl Gallasch z Wrocławia. Później zastępował go, nie lepszy od niego, Rottenführer Klütsch, kiedy Gallascha okresowo przeniesiono do Fünfteichen. Więźniowie zatrudnieni byli w warunkach wysoce szkodliwych dla zdrowia, przy napełnianiu gazami i trującymi substancjami bomb, pocisków artyleryjskich, specjalnych pojemników lotniczych i innych. Napełnianie tych pocisków gazem płynnym tabunem, odbywało się w specjalnych kombinezonach, w warunkach pracy taśmowej. Po wykonaniu serii, umieszczano więźniów w specjalnych pojemnikach o obniżonym ciśnieniu wraz z wykonaną partią pocisków, dla sprawdzenia szczelności poci-

sków i zapobieżenia jakimkolwiek sabotażowi. Zatrucia gazem zdarzały się i były szczególnie groźne dla systemu wzrokowego i nerwowego.

Ze względu na charakter pracy i całkowite odizolowanie komanda, wyżywienie w tym obozie było nieco lepsze niż w innych obozach. Nie było jednak w tym obozie żadnej opieki sanitarnej. W razie koniecznej potrzeby więźnia prowadzono pod eskortą do lekarza zakładowego fabryki, którym był starszy wiekiem pułkownik Wehrmachtu i on udzielał pomocy. W obozie nie było żadnego sanitariusza. O chorobie czy zwolnieniu z pracy decydował doraźnie SS-mann, dyżurny Blockführer.

W obozie tym byłem jeden raz, w niedzielę w południe, we wrześniu lub październiku 1944 roku. Na skutek wypadku w czasie pracy, a więc byli zatrudniani także w niedzielę, jeden z więźniów doznał zmiążdżenia stopy. Lekarza zakładowego nie było na miejscu, bo korzystając z niedzieli wyjechał. Sprowadzono mnie, pod eskortą, dla udzielenia pomocy doraźnej poszkodowanemu więźniowi. Musiałem przy wejściu podpisać pouczenie, że pod karą śmierci nie wolno używać mi innej mowy jak język niemiecki oraz że niczego przypadkowo usłyszanego, nie powtórzę nigdy nikomu. Przydzielono mi urzędowego tłumacza SS-mana, ponieważ poszkodowany więzień nie rozumiał mowy niemieckiej i był Polakiem. Wskutek tego wiedziałem wszystko wcześniej i dokładniej, zanim SS-man zdążył przetłumaczyć. Więzień opowiadał, że przy napełnianiu gazem pocisku artyleryjskiego, ciężki pocisk zsunął mu się po kombinezonie i spadł na stopę. Na pytanie SS-mana, dlaczego nie dość uważał, więzień powiedział, że to jest bardzo trudne, bo przeszkadzają przewody do maski. W ten sposób dowiedziałem się, że pracują w kombinezonach i maskach, w trudnych warunkach, a pociski czy pojemniki do napełniania są umieszczone na specjalnym urządzeniu przesuwym. Podczas badania obserwowałem więźniów, bo to było w normalnej izbie mieszkalnej więźniów. Właśnie jedli obiad. Była to niedziela i jedli dobrą gęstą grochówką, jak normalna zupa wojskowa. W naszym obozie takich zup nie dawano. Wszyscy obserwowani tam, w tym pomieszczeniu, więźniowie byli dobrze odżywieni. Odszedłem z takim przekonaniem, że ze względu na trudne warunki pracy i konieczność dochowania tajemnicy wojskowej, a więc jak najmniejszych zmian, więźniowie ci są lepiej traktowani i lepiej odżywiani niż w innych komandach.

Obóz ten był w nagłym przypadku przeznaczony na zniszczenie. Jednak nagle załamanie frontu w styczniu 1945 roku doprowadziło do pośpiesznej ewakuacji obozu do Gross-Rosen, i ich ocalenia. O rozmiarach paniki może świadczyć fakt, że Niemcy potracili głowy do tego stopnia, że zapomnieli opróżnić zbiorniki z chemicznymi substancjami, i musieli w tym miejscu dokonać kilkudniowego kontrataku, dla zniszczenia laboratoriów i zapasów tajemniczych substancji. Dokonali tego bez specjalnych trudności, bowiem atakujące oddziały frontowe także nie miały pojęcia, co to za zakład i co on produkuje.



Obóz Dyhernfurth II założono w przybliżeniu pod koniec września 1943 roku. Obóz ten nazywany też był Lager Elfenhain, czyli gajem elfów, tj. złych duchów leśnych, według germańskiej mitologii. W obozie tym znajdowało się wiele baraków betonowych jednopiętrowych, nie podpiwniczonych i nie ogrzewanych, byle jak zbudowanych w pośpiechu i już w trakcie wykańczania zaludnianych. Było ich w sumie 10. Poza tym była murowana łaźnia i wartownia oraz kilka baraków drewnianych, służących za pomieszczenia gospodarcze, jak kuchnia dla więźniów i SS, warsztaty: stolarski, krawiecki, odzieżowy, kancelaria, kantyna, warsztat pracy techników, czyli Zeichnerów, kantyna obozowa itp. pomieszczenia. Do baraków mieszkalnych w 1944 roku sukcesywnie, zaczynając od budynków rewirowych, doprowadzano wodę i kanalizację typu szambo. Do tego czasu pod ścianami stały beczki, jako pojemniki na nieczystości. W rewirze takie kubły stały w salach chorych dzień i noc, powodując straszliwy zaduch.

Zawszenie i zapluskwienie obozu było straszliwe. Kiedy w styczniu 1944 roku, przejmowałem cały blok po więźniach na potrzeby szpitala, podczas czyszczenia i dezynfekcji spotykaliśmy na złączach drewnianych łóżek skupiska insektów wielkości gniazd os, a kiedy nawet i potem w nocy zrobiło się nagle w sali chorych światło, ściany pokryte były taką ilością wędrujących pluskwów, że wyglądały jak olbrzymie mapy ścienne.

Więźniowie zatrudnieni byli przy najcięższych pracach budowlanych, ziemnych i przeładunkowych na rzecz fabryki „Anorgana” i firmy budowlanej „Luranil” i co najmniej 10 różnych drobniejszych firm budowlanych.

Od początku obozu do końca grudnia 1943 roku stan obozu, ciągle uzupełniany, wynosił około 450 ludzi. Śmiertelność w tych pierwszych miesiącach była bardzo wysoka i w przeciągu trzech miesięcy doprowadziła do całkowitej prawie wymiany komanda. Na podstawie opowiadań wielu napotkanych tam przeze mnie kolegów obozowych, zmarło w tym czasie co najmniej 400 więźniów, nie tylko z powodu ciężkiej pracy i złego wyżywienia, ale przede wszystkim z powodu złego traktowania, bicia, wyczerpującej pracy, przeciąganych specjalnie apeli podczas pogody zimowej oraz ciągłego karnego „sportu”, tj. ciągłych złośliwych karnych ćwiczeń.

Według zachowanej korespondencji w fabryce „Rokita” w Brzegu Dolnym, komando to w styczniu 1944 roku liczyło 450 ludzi. Na podstawie umowy zawartej wtedy między prezesem I.G.Farben, dr. Karlem Krauchem, a Obergruppenführerem SS Oswaldem Pohlem, głównym inspektorem obozów koncentracyjnych, komando to miało wzrosnąć do stanu 9600 osób. Do tych rozmiarów jednak nigdy nie doszło, ale obóz od początku stycznia 1944 roku rozrastał się gwałtownie.

Świadczą o tym transporty ok. 200 ludzi z pierwszych dni stycznia, nr od 10 000 do 15 480. Następnie, w dniach 13 i 14 stycznia 1944 r., przybył duży 600-osobowy transport Żydów polskich; nr 15 513 do 16 114. Byli to Żydzi

pochodzący przeważnie z Zagłębia Śląsko-Dąbrowskiego, najwięcej z Sosnowca i okolic Częstochowy, i innych drobnych miasteczek. Najpierw przybyli oni z obozu Blechhammer (Blachownia) i przez jakiś czas byli skoszarowani w niedaleko położonym obozie pracy. Potem zostali przejęci przez KL Gross-Rosen. Oni nie widzieli nigdy Gross-Rosen. Z tego transportu został zatrudniony w rewirze przyuczony dentysta Józef Ungier z Krzepic, początkowo jako sanitariusz przyuczony, a potem stworzono mu przychodnię dentystyczną. 19 stycznia przybył jeszcze niewielki transport rosyjski i radomski. W ten sposób komando to jeszcze w styczniu liczyło już około 1350 osób. 18 lutego komando zasilone zostało transportem z Radomia i liczyło już około 1670 osób. Następnie, 15 i 17 marca dochodzą dość liczne transporty lwowskie, przeważnie Polaków, ale z pewną częścią Rosjan, 21 marca transport z Kielc i 24 marca mały transport z Pawiaka. W kwietniu na skutek nowych transportów z terenów wschodnich i z Majdanka stan więźniów dochodzi do około 1850. Na przełomie maja i czerwca przybył jednolity transport Żydów węgierskich liczący 300 osób, od nr. 42 001 do 42 300. Tak więc już w czerwcu stan obozu przekracza poważnie 2000. Jeszcze w ciągu czerwca dochodzą liczne uzupełnienia. Potwierdza to obecność w obozie licznych bardzo niskich numerów więźniarskich. Od połowy czerwca rozpoczęto w Gross-Rosen wydawanie numerów powtarzanych. Obecność ponad 300 bardzo niskich numerów więźniarskich w Dyhernfurth II, narodowości przeważnie rosyjskiej, świadczy o tym dobitnie. Tak niskie numery mogły być wydane jeszcze w dniu 1.05.1941 roku, a przecież wtedy nie było jeszcze w obozie Rosjan. Poza tym najniższym numerem starego więźnia w Dyhernfurth był numer 173 Jarosińskiego Edwarda. On natomiast ma w Dyhernfurth II co najmniej 80 poprzedzających. Tak więc możemy przyjąć, że już w czerwcu 1944 r. stan obozu Dyhernfurth II ustabilizował się na poziomie 2300 do 2400 więźniów, łącznie z chorymi, i w tej wysokości dotrwał do końca, tzn. do ewakuacji obozu w styczniu 1945 roku, uzupełniany jedynie nowymi małymi grupami dla wyrównania strat, tj. zmarłych i zabitych.

Doskonałym dokumentem, jedynym zresztą jaki się zachował z komanda Dyhernfurth II, jest zestaw list wypłat premiovych z połowy miesiąca sierpnia 1944 roku. Ocalał on, gdzieś zawieruszony między innymi papierami w dokumentach fabrycznych. Jest tam zestawionych, komando po komandzie, 1766 pracujących w tym czasie więźniów, nie wyłączając zatrudnionych w komandach obozowych, kancelariach, administracji obozowej i szpitalu. Brak tylko więźniów chorych. Biorąc pod uwagę dość znaczną obecność w tych zestawieniach Żydów, których nie pominięto, oraz fakt, że tzw. premienscheiny były namiastką prawdziwych marek i można było za nie kupić przede wszystkim papierosy, a te były towarem bardzo pożądanym i po prostu wymienną walutą, łatwo dojść do wniosku, że nie pomijano w tych wypłatach prawie nikogo. Po prostu dlatego, że nawet te drobne sumy stawały się pożądane dla

blokowych i kapów. Zdobywali je od tych najbiedniejszych więźniów, po prostu w formie łapówki.

Liczba chorych w tym czasie, tzn. w połowie sierpnia 1944 roku, była już w wysokości szczytowej, tzn. dochodziła do liczby około 600 osób. Tak więc całkowity stan obozu wynosił w sierpniu około 1766 + 600 chorych = razem około 2366 więźniów.

Liczba 1766 pracujących, w przeważającej części posiada zaznaczoną narodowość. Brakujące zapisy łatwo uzupełnić przez zestawienie całości według porządku numerowego. Wtedy według grup transportowych i nazwiska łatwo poznać narodowość więźnia. Zestawienie chorych wg narodowości da się wykonać jedynie w przypuszczalnych liczbach. Według tego, co zapamiętałem stan chorych składał się przeważnie w 50 proc. z więźniów Żydów i po 25 proc. Polaków i Rosjan. Jest to zupełnie zrozumiałe. Żydzi już od dawna byli w obozach i byli stale prześladowani najwięcej. Nie otrzymywali żadnej poczty, nie otrzymywali paczek. Wiedzieli na pewno, że ich los jest już przypieczętowany i od śmierci dzielą ich dni, a co najwyżej miesiące. Byli załamani fizycznie i psychicznie, pozbawieni nawet dobrego słowa, najbardziej bici i wykorzystywani. Nie mogli być funkcyjnymi, nie mogli liczyć na żadne względy. Tak więc najwięcej chorowali i najwięcej umierali.

W ten sposób sztucznie sporządzony obraz komanda Dyhernfurth II, jakby zrekonstruowany na podstawie tej listy, w sierpniu 1944 przedstawiał się następująco:

Stan obozu:	2366 osób
w tym pracujących:	1766
chorych:	600

Skład narodowościowy:

Polaków	1051	44,5%
Żydów	715	30,2%
Rosjan	535	22,6%
Niemców	52	2,2%
Czechów	7	0,3%
Jugosłowian	3	0,1%
Francuzów	3	0,1%
<b>Razem</b>	<b>2366</b>	<b>100%</b>

W pierwszym okresie Lagerführerem komanda Dyhernfurth II był Sturm-scharführer-SS Siegmund Adolf (szarża odpowiadająca chorążemu w wojsku). Pozostawiał on zupełnie wolną rękę swemu Rapportführerowi, którym był

bezwzględny sadysta i w dodatku złodziej, SS-Oberscharführer Uhl<sup>12</sup>, prawdopodobnie węgierski lub rumuński volksdojcz. Urządził on się w obozie jak na własnym folwarku. W jednym z baraków urządził tuczarnię świń, na jedzeniu z kuchni więźniarskiej. Poza tym na cukrze z magazynów, kosztem również więźniów, pędzono samogon. SS-mani i kapowie byli ciągle pijani. W obozie panował nieopisany terror i stałe bicie. Ciągłe stosowano, jako swoistą zabawę, karny sport, przeciągano w nieskończoność apele. Ludzie byli wyniszczeni i wygłodzeni, mużłmianieli i wymierali masowo. A oto przykłady terroru, na podstawie opowiadania kol. kol. Drabka, Dziubka, Abramowicza i innych.

Pewnego dnia późną jesienią 1943 roku Rapportführer Uhl z blokowym Motzkusem przyłapali więźnia jedzącego z głodu kartoflane obierki. Kazano mu jeść i jeść ich jak najwięcej, a kiedy już nie mógł, przyniesiono mu w misce ludzkie odchody i kazano to publicznie jeść łyżką. Oparł się i nie chciał jeść. Bito go i zakatowano na śmierć. Przed zabitym musieli wszyscy defilować. Albo inny przykład, opowiadany przez kol. Drabka (nr 2604). W grudniu 1943 r. Uhl miał wyjechać na urlop do Wiednia. Potrzebował pieniędzy. Zarządził wypłatę pieniędzy z kont więźniarskich i równoczesną przymusową składkę na „cele obozowe”, w kwocie 3000 RM. Zebrano jednak tylko 400 marek. Dwóch więźniów, Muchę i Drabka, którzy dali tylko po 5 RM bito rzemieniem aż prerażeni więźniowie uzupełnili składkę.

Na skutek interwencji firmy „Luranil”, która potrzebowała coraz więcej więźniów do pracy, doszło do interwencji w Gross-Rosen i zaraz po Nowym Roku 1944 przyjechał do Dyhernfurth Lagerführer Gross-Rosen Ernstberger. Zdjęto wtedy Lagerführera Siegmunda Adolfa i odesłano z komanda. Zmieniono prawie wszystkie stanowiska SS-mańskie i administracyjne oraz zmieniono blokowych i kapów. Wtedy udało się wcisnąć na wiele stanowisk całą grupę uczciwych Polaków. Zakazano oficjalnie bicia, karnej gimnastyki, zlikwidowano tuczarnię i bimbrownię. Oczywiście zelżał terror, mimo że bicie było nadal stosowane, chociaż oczywiście w mniejszych granicach. Zlikwidowano też ćwiczenia karne. Nie poprawiono jednak żywienia, nie zmniejszono zakresu ciężkiej pracy ponad siły. Okradanie więźniów z żywności nie zostało nigdy w Dyhernfurth II zlikwidowane. Kradzieże ułatwiał fakt, że zarówno kuchnia jak i magazyny dla SS i dla więźniów usytuowane były w tym samym baraku. Okradano nas na tłuszczach, na mięsie i cukrze, najbardziej kalorycznej części naszego jedzenia. W tej sprawie nic nie można było osiągnąć, bo żadna skarga na jednego SS-mana składana drugiemu SS-manowi nie przynosiła efektu. Kiedy pewnego razu stwierdziłem z całą pewnością, że

---

12. Julius Uhl, ur. 1.05.1901 w St. Ingbert. Od 1.10.1934 członek załogi KL Dachau, następnie KL Sachsenhausen, a od 16.11.1942 KL Gross-Rosen. Gosudarstwiennyj Archiw Rossijskoj Federacji (dalej: GARF), fond 7021, op. 103, d. 231a.

w kuchni w elektrycznych patelniach piecze się mięso więźniarskie w ilości około 10-15 kg i poskarżyłem się przechodzącemu właśnie komendantowi Brauerowi, zawołany kierownik kuchni SS-man Petrowic stwierdził, że dla polepszenia zupy więźniarskiej on najpierw, za pomocą własnego wypróbowanego systemu, mięso piecze, podsmaża, potem kawałkuje i wrzuca do zupy. Wtedy zupa ma wyśmienity smak i zapach. Niestety, nigdy nie miała. Ja zostałem obrugany, że posądzam SS-mana o kradzież. Tak się kończyły wszelkie interwencje w sprawach słusznych.

Nowa obsada obozowa od stycznia 1944 roku była następująca: Wprowadzono wspólne dla obu obozów stanowisko Lagerführera, nazywanego tu potem komendantem. Ale już stanowiska Rapportführerów dla obu obozów były oddzielne. W komandzie I na jakiś czas przesunięto Gallascha do Fünfteichen, a jego stanowisko objął Klütsch, ale niedługo wrócono do stanu poprzedniego. W obozie Dyhernfurth II zmiany były większe i gruntowniejsze. Zmieniono prawie wszystkich na funkcjach.

Nowym Legerführerem został SS-Obersturmführer Karl Brauer. Niemłody już, około 50-letni, drobny, szczupły blondyn w okularach. Pozował na opanowanego, spokojnego urzędnika. W istocie był bardzo podstępny i chytry, i trzeba było bardzo się strzec, żeby nie dać się nabrać na szczerość, bo wtedy wybuchał. Chodził często z pejcem, ale sam bił mało. Tolerował jednak bicie przez innych, nawet w jego obecności, mimo oficjalnego zakazu bicia. Kierował każdą sprawą obozową. On osobiście kierował ewakuacją obozu i jest odpowiedzialny za to, że nie wydał ludziom jedzenia na drogę, ani nie pozwolił zjeść śniadania. On osobiście nadzorował akcję wyniszczania chorych i nie zostawił po drodze ani jednej żywej duszy. A działo się to tuż pod bokiem następującego frontu i pod bokiem wycofującego się Wehrmachtu, który wyraźnie nie chciał tych aktów bestialstwa pod samym frontem, czego zresztą byliśmy po drodze świadkami.

Rapportführer SS-Unterscharführer Erwin Jirzak<sup>13</sup>. Młody, 20-letni zaledwie, volksdojcz z Biskupic pod Zabrzem, z zawodu podobno górnik. Ale już od 1940 r. jako 17-letni chłopak rozpoczął służbę w SS w obozie koncentracyjnym w Mauthausen, potem w 1942 przybył do Gross-Rosen. Mówił lepiej po polsku niż po niemiecku i trzeba było bardzo się go strzec. W 1950 roku kolega Drabek odnalazł jego rodziców w Zabrzu. Z rozmowy wynikało, że Erwin żyje gdzieś na Zachodzie pod zmienionym nazwiskiem. Był wyjątkowym polakożercą i specjalnie prześladował Polaków. Wstydził się polskiego nazwiska i był bardzo czuły na jego wymawianie. Złośliwi Polacy wymawiali je czysto po polsku, jako Jerzak, złośliwi Niemcy przekręcali je na Irr-sack. Niuchał stale za rozmowami politycznymi i ruchem oporu w obozie. Pewne-

---

13. Erwin Jirzak, ur. 25.07.1923 w Biskupitz. 29.01.1942-15.10.1942 członek załogi KL Mauthausen, a od 16.10.1942 KL Gross-Rosen. GARF, fond 7021, op. 103, d. 300.

go razu w obozie prowadząc więźnia, rzekomo na przesłuchanie, zrzucił mu czapkę z głowy i kazał biegiem przynieść. Wtedy zastrzelił go i kazał napisać auf der Flucht erschossen, tzn. zastrzelony podczas ucieczki. Sam mi chępliwie o tym opowiadał, kiedy przyszedł z poleceniem zabrania zwłok. On też osobiście kierował akcją ewakuacji chorych, głodnych i półnagich oraz rozstrzeliwaniem tych, co nie byli w stanie iść w drogę. Sam przy tym bardzo dużo rozstrzeliwał.

Niektórzy Blockführerzy i SS-mani: SS-Rottenführer Weiss, prawdopodobnie słowacki volksdojcz. W każdym razie posługiwał się dobrze słowackim językiem, zbliżonym do polskiego. Mały, młody, około 22 lat liczący, śniady, o urodzie cygańskiej, ale zawsze ponury i milczący. Często chodził z psem. Nie wiem jak długo był w Gross-Rosen, ale zachowaniem swym wyraźnie pozował na Thumanna. Psem szczuł ludzi. Wielokrotnie zaopatrywałem więźniom rany zadane przez tego psa. Z pomocą tego psa złapał w lipcu 1944 r. trzech rosyjskich uciekinierów i straszliwie pokąsanych i pobitych sprowadził do obozu, pod szubienicę. On prowadził drugi transport chorych, półnagich, od Dyhernfurth aż do Neumarck. Wielu zastrzelił osobiście po drodze. Resztę oddał w Neumarck w ręce Volkssturmu, z poleceniem ich rozstrzelania.

SS-Rottenführer Schneider, wiek około 30 lat, volksdojcz z Besarabii. Tępy, głupi, czarny brunet z dużą czupryną, obrośnięty na całym ciele jak małpa. Rozrośnięty fizycznie, niezwykle brutalny, bił i kopał gdzie popadło. Szczególnie lubił „zabawę z kamieniem”. Kazał trzymać w rękach nad głową kamień lub cegłę, a sam bił wtedy gdzie popadło. Wielu leczyłem po jego pobięciu, wielu także z tego powodu zmarło.

SS-Rottenführer Wiese, lat około 23. Podobno wiedeńczyk. Drobnym, przyjemnego wyglądu, stale zamyślony, bił niespodziewanie i podstępnie.

SS-Unterscharführer Hławiczka, lub Gławiczka, Sudetendeutscher. Około 25 lat. Spokojny, z daleka beształ i krzyczał. Unikał bicia, unikał też rozmów z więźniami.

SS-Oberscharführer Uhl, były Rapportführer. Także volksdojcz z Besarabii. Po pozbawieniu go najważniejszej funkcji w obozie nieco się zmienił, pozostał jednak zawsze brutalny w stosunku do więźniów.

SS-Unterscharführer Bayer. Kierownik Postzensurstelle i zaopatrzenia kantyny. Łapówkarz. Poprzez kantyniarza Drabka kupowaliśmy u niego za marki papierosy, proste lekarstwa i materiały opatrunkowe dostarczane z Gross-Rosen, rzekomo kradzione z SS-rewiru, myślę jednak, że spryciarz sprzedawał nam własne nasze zaopatrzenie.

SS-Unterscharführer Hackler. Arbeitsdienstführer. Szef komand roboczych, odpowiedzialny za to, co się działo w pracy. Nie stykałem się z nim bezpośrednio, ale twierdzę, że on jest odpowiedzialny za mordercze tempo pracy i za terror i bicie w pracy. A tego w Dyhernfurth nie żałowano nikomu.

SS-Unterscharführer Blume. Był także kierownikiem komand obozowych. Nie zetknąłem się z nim bezpośrednio. Był stale w kontakcie z fabryką i firmami budowlanymi.

SS-Unterscharführer Hanke. Prosty chłop z okolic Jauer. Krzykliwy, sam bojaźliwy, wrzaskiem podniecał więźniów do pracy, a siebie do kopania. Nie bił zbyt wiele, po prostu z lenistwa.

SS-Unterscharführer Petrovic, kierownik kuchni dla SS i dla więźniów. Sudetendeutscher. Wykrzykiwał na ozdrowieńców zatrudnionych w kuchni. Podobno jednak nie bił. Okradał zawodowo więźniów na jedzeniu, na rzecz SS.

Służba sanitarna SS: Lekarza niemieckiego, SS-mana w Dyhernfurth nie było. Najwyższym zwierzchnikiem sanitarnym był tzw. SDG, zwykły przyuczony niemiecki sanitariusz. W koniecznych i uzasadnionych przypadkach wolno nam było zwracać się do fabrycznego ambulatorium po poradę do lekarza zakładowego, którym był starszy wiekiem pułkownik Wehrmachtu o krótkim nazwisku, zaczynającym się na literę M. Niestety, nazwiska jego nie pamiętam. Czyniłem to wielokrotnie, ponieważ było tam i doskonale wyposażone laboratorium i pracownia rentgenowska. Poza tym sam lekarz był bardzo ludzkim człowiekiem i za każdym razem mogłem od niego otrzymać trochę lekarstw, czego nam bardzo brakowało.

Pierwszym SDG w Dyhernfurth II był SS-Unterscharführer Herzog, zresztą tylko przez bardzo krótki czas. Potem odszedł do innego komanda, zdaje się Fünfteichen. Nie wyróżniał się on zresztą niczym. Był nadzwyczaj posłusznym wykonawcą zarządzeń władz obozowych i nigdy, jak go pamiętam jeszcze z Gross-Rosen, nie ujął się za chorymi. W Dyhernfurth już go nie zastałem.

Drugim SDG w Dyhernfurth II, od 1 stycznia 1944 do drugiej połowy listopada 1944 r. był SS-Unterscharführer August Peterek. Potem wyjechał na kurs gazowania (chyba ludzi) do Haweli pod Berlinem i więcej o nim nie słyszałem. Był on w wieku ok. 50 lat. Pochodził chyba gdzieś ze Śląska. W każdym razie przyjeżdżała do niego matka staruszka ze Świdnicy. Rozumiał po polsku i sam mówił niezbyt dobrze śląską gwarą, jednak ukrywał to, my też staraliśmy się nie dać mu poznać, że cokolwiek o tym wiemy. Sam też dowiedziałem się o tym przypadkowo, dopiero w lecie 1944 roku, przy okazji badania jego chorej matki, która rozmawiała ze mną po polsku i jemu kazała też tak mówić, nazywając polską mowę naszą „Muttersprache”. Prosił mnie potem, abym nie mówił o tym w obozie. Peterek dość żywo interesował się sprawami rewiru. Sam był tylko jakimś rzemieślnikiem w rodzaju ślusarza. Posiadał tylko bardzo mierne przeszkolenie sanitarne. Był starym członkiem NSDAP i posiadał złotą odznakę partyjną, przyznawaną tylko bardzo starym członkom partii. Nie bił chorych, nie mieszał się do leczenia. Wielokrotnie za naszą namową interweniował u komendanta obozu Brauera w sprawie wyżywienia chorych, aż uzyskaliśmy dla chorych te same stawki żywieniowe i tzw. dodatki do wyżywienia dla chorych, wydawane dotąd jedynie jako tzw. drugie śnia-

danie tylko pracującym. Także wiele razy namówiliśmy go do interwencji w sprawie nadmiernego bicia w pracy i innych sprawach obozowych. W rewirze kontrolował i dzielił paczki żywnościowe dla chorych, przysyłane z domu. Dzielił bardzo dobrze, tzn. niewiele odkrawał, za co staraliśmy się mu wywdzięczyć tytoniem lub słodyczami.

Nazwiska trzeciego SDG, który był od 1 grudnia 1944 roku aż do końca obozu, tj. ewakuacji, nie pamiętam i chyba nigdy nie znałem. Był to stary, około 60-letni stetryczały i chorowity sklerotyk, chyba z zawodu stolarz czy jakiś furman. Mało zajmował się rewirem, ciągle bowiem chorował. Z sentymentem odnosił się tylko do koni. Podczas ewakuacji, kiedy co chwilę padały strzały i zabijano człowieka, nic go to nie obchodziło. Kiedy jednak mijały nas jakieś sianie uciekinierów czy furmanka, bacznie obserwował, czy konie są na ostro podkute. Jeśli nie, i ślizgały się na drodze, biadolił i wyzywał woźnicę. Nazywał go bandytą i człowiekiem bez sumienia, który tak może patrzeć, jak bezbronne zwierzęta ślizgają się na szosie i stają się mokre ze strachu.

Oczywiście, tych kilka postaci nie wyczerpuje całej obsady SS-mańskiej Dyhernfurth, która przecież była niemała. Załogę stanowiła 8 kompania SS-Totenkopf z Gross-Rosen, często uzupełniana i wymieniana. Napisałem tylko o kilku charakterystycznych postaciach. Nie mogliśmy znać wszystkich, po prostu dlatego, że nikt nam ich nie przedstawiał i SS-mani unikali posługiwania się nazwiskami, a między sobą używali w rozmowach przede wszystkim imion. Poza tym w tej załodze występowały ciągłe zmiany. Najlepiej znało się i zapamiętywało tzw. Blockführerów, ale i tych nie zawsze znało się z imienia i nazwiska. Natomiast nazwisk tzw. Mannschafu, a więc z kompanii wartowniczych zasadniczo nikt nie znał.

W większych obozach, gdzie dość duża liczba więźniów pracowała przy obsłudze i porządkowaniu pomieszczeń biurowych i koszarowych oraz w kuchni, magazynach SS itd. znajomość poszczególnych SS-manów, zwłaszcza tych na stanowiskach, była znacznie lepsza. W obozach mniejszych było to prawie niemożliwe. Pod koniec wojny przychodziły często całe oddziały „obiboków” i ozdrowieńców ze szpitali polowych, tzw. kompanii Magenkranken itd., i przechodzili pod okiem doświadczonych w obozowej służbie SS-manów dwutygodniowe „przeszkolenia”. Kiedy pełnili jeszcze „praktykę”, widziało się wśród nich czasem jakieś proste ludzkie odruchy. Czasem któryś wyrzucił pod nogi przechodzącego więźnia kawałek chleba, niby to przypadkowo, lub niedopalonego papierosa, lub widziało się u niego jakieś litościwe ludzkie spojrzenie. Po dwóch tygodniach jednak, kiedy obejmowali już samodzielną służbę, przebrani w nowe mundury SS-mańskie, nagle zmieniali się. Przeistaczali się nagle w dzielnych, pełnych wigoru SS-manów. I znów było więcej krzyku. Los! Los! Bewegen! Schneller! Ihr Schweinehunde! Znów było ganieanie, bicie, maltretowanie i znęcanie się nad najbiedniejszymi. Tak działał na wszystkich Niemców swoisty „czar mundu-



ru”, niezależnie od wykształcenia, pochodzenia czy stanowiska. Jakże trudno było znaleźć jednostki nieco odmiennego charakteru.

Niektórzy więźniowie funkcyjni, od stycznia 1944 roku: W styczniu 1944 roku nastąpiła zmiana prawie na wszystkich stanowiskach funkcyjnych w obozie. Zasadniczo nastąpiła jedynie zmiana stanowisk, ponieważ stanowiska te zastrzeżone były przede wszystkim dla więźniów narodowości niemieckiej, a tych było w obozie Dyhernfurth nie więcej niż 2 procent ogółu.

Dotychczasowy Lagerältester BV Hermann Jupp, rozbójnik i bandyta, złodziej i krętacz został zdegradowany na kapo, a potem znów był blokowym. Nowym Lagerältestrem został ASO (Asoziale, Arbeitsscheuer) Hermann Guhr, z czarnym winklem. Był on rzeczywiście powolniejszy i nieco łagodniejszy od swego poprzednika, może nawet więcej sprawiedliwy i sam bił mniej. Tolerował jednak bicie i znęcanie się innych blokowych, a zwłaszcza Motzkusa, którego blok zastępował blok karny. Takiego bowiem zasadniczo w Dyhernfurth nie było. Tam odbywały się zaplanowane wykańczania i mordy kapturowe więźniów, zwłaszcza polskich i radzieckich.

Głównym pisarzem kancelarii obozowej został Jan Szary, nr 8360, znany mi już z Oświęcimia z 1941 roku pisarz schreibstuby rewirowej, a potem pisarz kancelarii obozowej w Gross-Rosen. Poznaniak, spokojny, dość zrównoważony, gdzie mógł pomagał Polakom. Wielu przez niego uzyskało różne stanowiska funkcyjne. W Dyhernfurth II wiele pomagał mi w sprawach rewirowych.

Oberkapo komand roboczych został Stanisław Szulc, nr 8421. Polak, dość strachliwy, wiernie słuchający Hacklera, Arbeitseinsatzführera. Tolerował w komandach bicie przez kapów i vorarbeiterów. Wielokrotnie wzywałem go do rewiru, demonstrując co bardziej pobitych w komandach roboczych. Niestety, nie na wiele się to zdało. Przyrzekał, że to zmieni, ale na ogół nic się nie zmieniało.

Jego zastępcą był Niemiec, BV nr 607, Schmiets, znany brutalny kapo z Gross-Rosen. Silny fizycznie, wysportowany i dobrze odżywiony, bił brutalnie i codziennie.

Pisarzem komendantury był także Polak Czesław Stanisławski, nr 8903. Warszawiak, redaktor i reporter czerwonego „Kuriera Porannego”. Pracował w komendanturze, w pokoju obok biura komendanta obozu. Stąd zawsze dobrze był zorientowany w sprawach obozowych i politycznych, i uprzedzał o różnych nagonkach i akcjach obozowych oraz naświetlał nam niektóre zdarzenia, przez kogo były inspirowane itd. Z powodu przewlekłego wrzodu podudzia, na skutek pobicia w pierwszych dniach obozowych, przychodził do mnie prawie codziennie wieczorem na opatrunek i przy okazji dzielił się wiadomościami. Po ewakuacji z Dyhernfurthu wysłany był do obozu Dora Mittelbau, w Góry Harzu. Przetrzymał obozy i wrócił do kraju. W 1946 r. został znaleziony utopiony w Odrze we Wrocławiu. Trudno mi uwierzyć w sa-

mobójstwo. Miał dobrą wyćwiczoną pamięć dziennikarską. Z poglądów był zdecydowanie lewicowcem. Mógł być jakiemuś łajdakowi niewygodnym.

Innym pisarzem zatrudnionym w zarządzie obozu był Bronisław Kurkowski, Polak, nr 1749. Zawodowy pilot porucznik WP. Spokojny, uczciwy, opatowany, na którym można było polegać. Czynny w konspiracji. Nie znam jego dalszych losów.

Magazyn odzieżowy, czyli tzw. Bekleidungskammer prowadził podchorąży WP Franciszek Abramowicz, nr 9851. Dziś lekarz weterynarii we Wrocławiu. Umiał nie widzieć, jak okradaliśmy go z bielizny, koców i pościeli SS-mańskiej dla naszych chorych i na bandażę. Spokojny i zrównoważony, zawsze koleżeński; czasami niby to krzyczał, że już ostatni raz, że już koniec, ale tolerował i krył.

Warsztat krawiecki prowadził Edward Galbas, nr 7899 z Kielecczyny, uczynny, pracowity, czynny w ruchu oporu. Przeżył obóz w nie najlepszym stanie i wkrótce potem zmarł. Tyle dowiedziałem się z listów jego córki po wojnie. Warsztat szewski prowadził jeniec radziecki z pierwszego transportu z października 1941 roku, Gruzin Sasza. Małomówny, ale kulturalny i uczciwy człowiek. Jeden z kierowników rosyjskiego ruchu oporu w obozie.

Magazyn żywnościowy prowadził Polak Karwowski, nr 8615, oficer WP. Donosił o wielu nadużyciach SS-manów w magazynach. Kierownikiem stolarni obozowej był Okruta Józef, nr 7011, tamże pracował najstarszy więzień obozu grossroseńskiego w Dyhernfurth, Jarosiński Edward, nr 173. Warsztatem elektrycznym kierował, również Polak, Soczówka Roman, nr 8564. Im wszystkim wiele zawdzięczam za pracę włożoną w przeróbki i modernizację rewiru dla chorych.

Kantynę obozową prowadził Drabek Bolesław, nr 2604. Zawodowy sierżant WP z Tarnowskich Gór, kawaler Virtuti Militari za wrzesień 1939 roku, partyzant i organizator ruchu oporu. Od listopada 1940 roku w Oświęcimiu, od lutego 1942 r. w Gross-Rosen. Poza tymi obozami i Dyhernfurthem przetrzymał jeszcze Dora Mittelbau i wrócił do kraju. Uczciwy i odważny Polak. W Dyhernfurth przy byle jakiej okazji zbierał po twarzy od Jirzaka, który go nienawdził. Pomagał mi wiele w organizacji rewiru czym mógł, choćby dobrą radą. Dostarczał „środki płatnicze” w formie papierosów na zapłacenie za lewe środki lecznicze, za liczne „lewe roboty” wykonywane w rewirze. Za pomocą swoich znajomości często organizował lżejszą pracę dla ozdrowieńców zwalnianych z rewiru.

Innym kolegą, któremu wiele dla rewiru zawdzięczałem, był kierownik komanda wodno-kanalizacyjnego Adam Dzierwa, nr 2296, z Brzeska. Porucznik WP, doświadczony lagrowiec. Dla rewiru nieraz pracował po nocach, aby jak najszybciej poprawić warunki bytowe chorych. Zawsze spokojny, uśmiechnięty i koleżeński. Nieoceniony organizator życia kulturalnego wśród szpitalników oraz jeden z organizatorów ruchu oporu w Dyhernfurth II.

W Dyhernfurth II, w budujących się zakładach potrzeba było młodych inżynierów i techników. Z czasem stworzono nawet specjalne komando tzw. Zeichnerów. Mieszkali oni i pracowali w drewnianym baraku nr 17. Kierownikiem tego komanda był inżynier Władysław Majewski, nr 8464. Poza tym pracowało tam kilkunastu polskich inżynierów i techników. Blok ten był ogniskiem inteligencji polskiej w Dyhernfurth II.

W komandzie Arbeitseinsatz pracowało też wielu polskich pisarzy. Niemcy nie posiadali takiej fachowej obsady w obozach ani ze strony więźniów, ani ze strony SS-manów. Wszędzie w takich wypadkach musieli posługiwać się Polakami. Pracowali tam, w różnym czasie: Krajewski (nr 3402), Brzask (nr 7289), Porowski (nr 16309) i Woźniak (nr 23422). Z ich pomocy niejednokrotnie korzystałem przy zmianie pracy i uzyskiwaniu lepszej pracy dla zwalnianych z rewiru ozdrowieńców.

Blokowi w Dyhernfurth II: Funkcje te z zasady pełnili Niemcy i to przeważnie BV-erzy. Najgorszym z nich był BV Motzkus (nr 1339). Znałem go jeszcze z Gross-Rosen. Spasiony, obrzydliwy rudzielec, wiecznie kogoś bijący, znęcający się dla przyjemności. Spełniał on, podobnie jak Krankenmann w Oświęcimiu i Vogiel w Gross-Rosen, rolę urodzonego bandyty-mordercy. Blok jego był istnym blokiem karnym. Podobnie pilni, choć nieco łagodniejsi w stosunku do dobrze opłacających się im więźniów, byli: BV Kindt (nr 1329), BV Schledt (nr 3670), BV Schweitzer (nr 3686), BV Rabandt (nr 5039), BV Raabe (nr 5662), BV Vogel (nr 5663), BV Stamm (nr 5672). Wyraźnie odcinał się od nich ASO Tschentscher (nr 10414), czarnowinkłowy Arbeitsscheuer, piekarz z Wrocławia. Krzyczał, kłął, ale nie bił. Stąd, gdy po wojnie spacerował po rodzinnym Wrocławiu, wzdychając do dawnych „dobrych” niemieckich czasów, nikt spośród spotykanych więźniów nie czynił mu krzywdy.

Sztubedienści: Stanowiska te w każdym obozie posiadały złą sławę. Obsadzone były też przez blokowych z odpowiednim ukierunkowaniem, aby przemocą i okradaniem ludzi łatwiej rządzić. Na stanowiska te dobierano zwykle różnorodny element. Tak i w Dyhernfurth II dużo było sztubedienstów Ukraińców, volksdojczów itd. Było jednak i wśród nich wielu uczciwych Polaków, myślę, że co najmniej 50-60%.

Tylko dwa stanowiska blokowych były w Dyhernfurth obsadzone przez Polaków. Po zmianach w styczniu 1944 r. usunięto, znanego mi już z rewiru Gross-Rosen, BV Brunona Sarokiego (nr 593) z Gdańska, który bił chorych, a nawet lekarza. Na jego miejsce przyszedł Polak, Ludwik Dziubek (nr 6908) z Dworów pod Oświęcimiem. Był to zawodowy bosmanmat ze Śródlądowej Marynarki Wojennej na Pinie w Pińsku. Stanowczy, sprawiedliwy, człowiek o wojskowym poczuciu godności, stał się dobrym organizatorem szpitala obozowego i opiekunem chorych. Drugim blokowym Polakiem w Dyhernfurth II był Maślankowski (nr 17303). Był on blokowym zorganizowanego dopiero w lecie 1944 r. bloku nr 1 dla młodocianych. W tym czasie do obozu przywo-

żono już wielu małoletnich więźniów. Obóz Gross-Rosen wśród innych obozów koncentracyjnych odznaczał się tym, że tu gromadzono więźniów niemieckich, przestępców pospolitych o dodatkowych zbrodniach seksualnych. Początkowo oznaczano ich według przepisów obozowych dodatkowymi różowymi winklami. Było ich jednak tak wielu, że obóz po prostu wyglądał jak zbiorowisko zbrojczyków. Miało to podobno przynosić wstyd innym Niemcom i SS-manom wobec innych narodowości znajdujących się w obozie, i oznaczeń tych praktycznie zaprzestano stosować. W okresach, kiedy do obozu zaczęto przywozić coraz więcej małoletnich, liczba przestępstw seksualnych bardzo wzrastała. Tak też działo się w komandach roboczych obozu Gross-Rosen. Gorzej, że okresowo zarazali się tym prominenci i funkcyjni Polacy. Trafiało się to także i wśród niektórych przyuczonych sanitariuszy. Z tych względów w Dyhernfurth II w lecie 1944 r. urządzono oddzielny i położony nieco na uboczu blok 1, specjalnie dla małoletnich, których było ponad 150 i zakazano tam dostępu innym więźniom.

Jak wynika z tego opisu, wiele stanowisk w podobozie Dyhernfurth II w styczniu 1944 r. opanowali Polacy. Miało to korzystny wpływ na nastroje, klimat i dzieje tego obozu. Nie wynika jednak z tego, że Dyhernfurth był obozem lekkim. Był to już w samym założeniu obóz ciężki; obóz zamknięty, bez możliwości powrotu, obóz ciężkiej pracy dla przemysłu wojennego III Rzeszy, stąd silnie strzeżony, mały, okradany, głodny. W dodatku obóz ten był położony na obcym terenie, zamieszkanym wyłącznie przez Niemców. Nawiązanie jakiegokolwiek kontaktu ze światem było niezwykle utrudnione i tylko jednostkom się to udało, bo obóz był pilnie strzeżony; a dotyczyło to nie tylko samego obozu, ale i pracowników cywilnych, pracujących tam w licznych drobnych firmach. Mimo to, ze względu na zgranie się dużej części więźniów, obóz ten pozostawił nam wiele dobrych wspomnień o koleżeńskiej pomocy i życzliwości.

Rewir, czyli szpital obozowy w Dyhernfurth II: Kiedy przybyłem tam 14 stycznia 1944 r. szpital zajmował tylko parterową część normalnego bloku piętrowego nr 4 (późniejszy blok 15). Były tam dwie sale chorych dla biegunek i ogólnie wyniszczonych, pokój zabiegowy i izba przyjęć, jeden minipokoik dla kapo rewiru, pokoik dla celów gospodarczych i na żywność oraz wspólne pomieszczenie do mycia i składania zwłok. Biorąc pod uwagę, że zwłoki wywożono co 5-7 dni, panował nieopisany zaduch i smród. Kubły (stare beczki) na nieczystości stały dzień i noc w salach chorych. Lekarz i pielęgniarki mieszkali razem z chorymi. Stan chorych wynosił około 90 półżywych ludzi.

Właśnie wtedy przyjmowano transport 600 polskich Żydów. Stan liczebny rewiru gwałtownie wzrastał. W tej sytuacji najważniejszym zadaniem stało się uzyskanie dla rewiru nowych pomieszczeń i poprawa stanu sanitarnego rewiru. Po rozmowach z wieloma kolegami, którzy byli tu już dłuższy czas, i SDG Peterkiem, postanowiłem poprzez SDG dotrzeć do komendanta i przed-

stawić mu ten stan. Zdawałem sobie sprawę, że lekarz niemiecki tu nie przyjedzie, a ktoś tym się musi zająć. Po dwóch dniach zostałem wezwany do komendantury i tam przedstawiłem nowemu komendantowi Brauerowi tragiczny stan rewiru. Wysłuchał mnie dość spokojnie, potem cierpko zauważył, że to nie jest sanatorium, ale obóz koncentracyjny. Potem powiedział, że natychmiast może nam dać cały ten blok, który zajmujemy (nr 4, potem nr 15), na cele szpitalne. Oczyszczyć oraz doprowadzić do dobrego stanu musimy sami. Poza tym jeszcze tej zimy będzie się zaczynało kanalizować bloki sposobem szambo, więc nic nie stoi na przeszkodzie, aby zacząć to od rewiru, tym bardziej, że jest to blok brzeżny. Dwa miesiące później, ponieważ stan obozu stale wzrastał, sytuacja się powtórzyła. W ten sam sposób uzyskałem wtedy drugi blok, usytuowany za nami, blok nr 3 (wg ostatecznej numeracji blok 14) na tzw. szonungblok. Służył on takim samym szpitalnym celom i nie było żadnej istotnej różnicy, czy chory leżał w rewirze, czy w szonungu.

W tej sytuacji zestawiliśmy zakres potrzebnych i koniecznych prac, aby bloki te dostosować do potrzeb szpitalnych. Następnie, poprzez znajomości koleżeńskie, zwłaszcza nowego kapo, który w obozie tym był od samego założenia komanda i miał wielu znajomych, postaraliśmy się nasz plan skonsultować z innymi kolegami. W ten sposób ustalono, co należy wykonać koniecznie, co można skreślić, co nawet poszerzyć, zależnie od możliwości lokalnych. Trudności materiałowych nie mieliśmy właściwie żadnych. Fabryka była w rozbudowie i „zorganizowanie” odpowiednich, czasem nawet deficytowych materiałów budowlanych nie było problemem. W takich „organizacjach” dla obozu władze obozowe właściwie przymykały oczy, a inni nie mieli prawa wstępu do obozu. Płytki glazurowe, materiały instalacyjne, gips itd. przynosiły całe komanda pod kurtkami i płaszczami ze stanowisk pracy. Koledzy z komand obozowych pomagali nam to wykonywać przeważnie poza godzinami pracy. Staraliśmy się wykonać prace wewnątrz bloków, żeby już potem nie wracać i dwa razy nie wykonywać tej samej pracy.

Przede wszystkim należało wyprowadzić z budynku skład zwłok, tak ze względów sanitarno-epidemiologicznych, jak też zwykłych humanitarnych i estetycznych. Wybudowaliśmy poza blokiem, w stronę drutów, małą szopę drewnianą z desek na betonowej uszczelnionej podłodze, o wymiarach 2,5 x 2 m. Tam w skrzyniach wybitych blachą, o wymiarach 2,0 x 0,8 x 0,8 m, sporządzonych w obozowej stolarni, przechowywaliśmy odtąd zwłoki. W pomieszczeniu tym, gdzie dawniej był skład zwłok, po wyłożeniu terakotą, urządziliśmy klozet i umywalnię. Stosowaliśmy nadal beczki, ale jeszcze przed wiosną wykopano pierwszy dół szambo, założono kręgi betonowe i podłączono wyprowadzone rury kanalizacyjne. Do 3 miesięcy mieliśmy już ustępy splukiwane i umywalnię z prawdziwego zdarzenia. Zbudowanie odpowiedniego kotła żeliwnego z paleniskiem stworzyło nam możliwości posiadania ciepłej wody, właściwie o każdej porze dnia. W tych pracach dla szpitala szczególnie zasłu-

żyli się koledzy: Adam Dzierwa ze swoim komandem kanalizacyjnym, murarz warszawski, niejaki Malinowski (nr 42479), zwłaszcza w ostatnim letnim wykańczaniu wewnętrznym w rewirze i szonungu, oraz Okruta, Soczówka i Jarośniński z obozowych stolarzy i instalatorów elektrycznych.

W bloku rewirowym urządziliśmy na parterze izbę przyjęć i 3 sale chorych, na piętrze izbę zabiegową z apteką i 3 sale chorych, izolatkę, pokój dla sanitariuszy, pokój dla kapo, pomieszczenie gospodarcze i żywnościowe oraz na każdym piętrze klozety i umywalnie. W bloku szonungowym remont był skromniejszy, ale w tym samym zakresie. Tam, poza 8 salami chorych, urządziliśmy jeszcze pokój dentystyczny i pomieszczenie dla sanitariuszy.

W 1944 r. zatrudniliśmy dwóch dentystów. Pierwszego od stycznia 1944 – Żyda Józefa Ungiera (nr 16114), z Krzepic. Drugiego od czerwca 1944 – Żyda z Wiednia Josepha Fischera. Ten ostatni przez długi czas pozostawał w stanie chorych, ponieważ komendant nie chciał go zatwierdzić. Oczywiście, że na tak mały obóz zatrudnienie dwóch dentystów, w dodatku prawie bez wyposażenia, było zbyt, jednak przydali się w pielęgnacji chorych, których co najmniej połowa była Żydami, często źle mówiącymi po polsku lub, jak w przypadku Żydów węgierskich, nie mówiącymi po niemiecku.

Mimo tak wielkiego poszerzenia rewiru, byliśmy stale przeładowani, bo stan obozu wzrastał z dnia na dzień i stan chorych także. Mieliśmy już łącznie w 14 salach chorych 462 łóżka. Już z początkiem lata 1944 r., na skutek ciągłego braku miejsc, dostawiliśmy w każdej sali chorych jeden zestaw 3-łóżkowy i osiągnęliśmy łącznie stan 504 łóżek. Od tego czasu zmuszeni byliśmy do zacieśniania, poprzez układanie do 1 łóżka po dwóch chorych. W ten sposób co najmniej 20% łóżek było podwójnie obsadzonych. Stan chorych wahał się stale w granicach 600 ludzi. Nie mogliśmy położyć wszystkich potrzebujących pomocy. Prawie codziennie musiałem się tłumaczyć przed komendantem z powodu zbyt wysokiego stanu chorych. Tłumaczyłem mu, że prawie w każdym obozie, w którym przez te lata przebywałem, stan rewiru stale wynosił około 1/4 stanu obozu, a więc około 25%, niejednokrotnie dochodząc do 30%. Tak było w Oświęcimiu, tak było też stale w Gross-Rosen. Tam ponadto niektórych chorych prowadziliśmy ambulatoryjnie, bo było dość miejsca dla ozdrowieńców, tzn. pracy lekkiej. W tym obozie prawie jej nie ma. Nie ma zaplecza gospodarczego i nie ma lekkich prac. Kucharz nie chce nawet przyjmować po szpitalu do pracy w kartoflarni, bo tam obiera się kartofle dla SS-manów. W ogrodnictwie i małej pralni nie potrzebują też chorych. Całe pranie odsyła się stąd do Gross-Rosen. Trzeba było bardzo dużo opowiadać, żeby wreszcie odesłał mnie do wszystkich diabłów.

Obsada rewiru wzrastała, w miarę powiększania się stanu chorych. Nie mieliśmy z tym specjalnych trudności. Przydział 10, a potem 12 etatów pflegerkich oczywiście nie wystarczało i dobieraliśmy wtedy odpowiednich ludzi do pracy, umieszczając ich w stanie chorych. Jako pomocników, spełniających

rolę blokowych i salowych sztabedienstów wykorzystywaliśmy oczywiście ozdrowieńców, nieraz zatrzymując ich na dłużej w rewirze, jeżeli nadawali się do tej pracy. Powoli kompletował się nasz stan i w końcu 1944 roku w rewirze było już zatrudnionych 3 lekarzy (dwóch Polaków i jeden Rosjanin), dwóch stomatologów (obaj Żydzi), dwóch studentów medycyny, jeden magister farmacji, czterech uczniów gimnazjalnych, dwóch oficerów, dwóch podoficerów, jeden dziennikarz. Na obsadę personalną zwracaliśmy szczególną uwagę. Był to już rok 1944. Klęska Niemiec była już nieuchronną. Wszyscy o tym wiedzieli. Nie można było nikomu zabronić politykowania, a gdzie mogli tak swobodnie politykować jak w rewirze. We wszystkich obozach występował ten sam objaw. Ludzie politykowali i organizowali się przede wszystkim w rewirach. Tego nie można było hamować. Ale Niemcy tego zakazywali. W sierpniu 1944 r. odczytano specjalny rozkaz Lagerführera Ernstbergera z Gross-Rosen, zakazujący rozmów politycznych, wszelkich zgromadzeń narodowościowych, dyskusyjnych itd. Nie wolno było nawet posiadać w obozie żadnych mapek. Zatem każdego nowego trzeba było sprawdzać, aby chronić innych. Było to zadanie niełatwe i ono w Dyhernfurth II przypadło mi w udziale. Trzeba było umiejętnie oszukiwać przede wszystkim Rapportführera Jirzaka, który znając język polski i polskie obyczaje, doskonale orientował się, z której strony w obozie cokolwiek może zagrażać. Miał ponadto całą zgraję swoich informatorów. Zналиśmy ich i trudno im było o dostęp do rewiru.

Obsada personalna rewiru: Współpracowników miałem wspaniałych. Po kolei zresztą sam ich sobie dobieierałem. Zawsze stałem na stanowisku, że zawodu i pracy można nauczyć, trudno zmienić charakter.

W początkach stycznia 1944 kapo rewiru został Polak Ludwik Dziubek, zmieniając znieawidzonego bandytę Bruno Sarokiego. Zmiana okazała się bardzo korzystna. Dziubek był więźniem przebywającym w komandzie Dyhernfurth II od samego początku. Znał wszystkich, wszędzie miał znajomych, wszystko potrafił załatwić. Był sprytnym i zapobiegliwym, a przede wszystkim był dobrym i zdyscyplinowanym Polakiem. Prawdę mówiąc wszyscy mu coś zawdzięczaliśmy. Jakoś umiał zawsze wyklócić się w sprawach rewirowych i nie dał się oszukać, zwłaszcza z żyzywieniem. Nie dopuszczał też do żadnych oszustw z jedzeniem chorych, o których żyżywienie zawsze dbał. Nie pozwolił na żadne machinacje żywnościowe w szpitalu. Umiał gdzieś organizować, ale jak to robił, nie wiem. Wiedział, że w rewirze dużo się politykuje, sam zresztą należał do RO. Dbał jednak o bezpieczeństwo wszystkich i dotąd stał na swoim stanowisku przed rewirem, dopóki ostatni obcy człowiek nie opuścił szpitala. Nie znam jego dalszych powojennych losów. Wiem, że na pewno przeżył obozy. Podobno zmarł na obczyźnie. Niektórzy jednak twierdzą, że żyje gdzieś w świecie.

Lekarze: Pierwszym lekarzem, w najtrudniejszym okresie komanda Dyhernfurth II, od września 1943 do 14 stycznia 1944, był dr Jan Jachna. Wyjechał

stąd do komanda Lissa, tam był do czasu ewakuacji i wyjechał z Gross-Rosen. Dalszych losów jego nikt nie zna. Po nim, od 14.01.44 objąłem funkcję naczelnego lekarza w rewirze, aż do czasu ewakuacji, tj. do 23.01.1945 r. (Kazimierz Hałas, nr 1487). Do połowy marca 1944 r., do całkowitego zorganizowania rewiru byłem sam. Po 15 marca przyjechał do Dyhernfurthu, z częścią transportu lwowskiego, lekarz radziecki, Grisza Pietrow (nr R-20341), w wieku około 40 lat. Podobno nazwisko było fałszywe i dane też, o takie rzeczy nikt w obozie nie pyta. Podawał pochodzenie z Tbilisi, pracował dawniej w Kujbyszewie, potem na Polesiu, w Tarnawatce, i tam został, po przełamaniu frontu, aresztowany przez Niemców. Z wykształcenia był ginekologiem, z zamiłowania pediatrą, lekarzem chyba z urodzenia. Łagodny, wyrozumiały, dokładny w pracy, opanowany i rozważny, zawsze ludzki. Tak chorzy, jak i koledzy bardzo go lubili. On zorganizował w rewirze oddział rosyjskiego ruchu oporu, z pomocą szewca Saszki. Poprzez dawnych jeńców wojennych, z którymi zaprzyjaźniłem się jeszcze w obozie jenieckim w 1941 roku, wiedziałem o wszystkim. Był czas, że były nawet nawiązane rozmowy między polskim a rosyjskim RO, były nawet rozważane pewne wspólne działania, jednak potem zostało to wszystko zawieszono, wobec trudności dojścia do ideologicznego porozumienia. Dziś wydaje się to śmieszne, ale wtedy niestety tak było. Dr Pietrow przetrzymał obóz, wyszedł na wolność 8.05.45 w Litomierzycach. Przypuszczam, że wrócił do kraju, do żony i rodziny, o których nic nie wiedział.

Następnym lekarzem w naszym zespole był dr Stanisław Mazurek (nr 65482) z Katowic, były szef służby zdrowia RO okręgu katowickiego. Od marca 1944 r. przeszedł Oświęcim i ciężki tyfus, w październiku 1944 r. przyjechał do Gross-Rosen i po kilku dniach trafił do nas. Drobny, wychudzony i zabiedzony, schorowany, wiele przeszedł, ale niechętnie o tym opowiadał. Martwił się brakiem wiadomości od żony, która także została gdzieś wywieziona. Serca nasze zdobył organiczną nienawiścią do Niemców. Sam schorowany, z całym zapalem pomagał mi w pracy. Jakoś udało mu się przetrzymać obóz. Był ze mną w Litomierzycach. Zaniepokojony byłem o niego, gdyż jeszcze w ostatnich dniach kwietnia wzięto go z kilkoma innymi na transport, rzekomo do Dachau. Wówczas przy takich, prawie pojedynczych, wybranych transportach można się było spodziewać wszystkiego najgorszego. Po drodze jednak udało mu się uciec i po dwóch dniach zakończyła się wojna. Nigdy się nie dowiedział po co w ostatniej chwili transportowano go w głąb Niemiec. Wrócił do domu, odnalazł żonę. Spotkałem się z nim po wojnie dwa razy. Chorował stale. Do 1960 r. jeszcze pracował, potem na 5 lat choroba przykuła go do łóżka. Zmarł w 1965 roku.

Sanitariusze: Dobieraliśmy ich spośród kolegów medyków i innych młodych ludzi lub przyuczonych sanitariuszy, lub ludzi obeznanych nieco z pracą sanitarną. Studentów medycyny było dwóch. Jednym z nich był Stanisław Czarnek (nr 8562) z Krakowa, syn pułkownika lekarza, kolega Stanisława Dziadu-



sia z komanda Hirschberg. Znałem go jeszcze z Gross-Rosen i natychmiast po przybyciu do komanda Dyhernfurth zaprosiłem go do współpracy w szpitalu obozowym. Był moim najbliższym współpracownikiem w najgorszych czasach organizacyjnych szpitala. Młody, niezwykle pracowity i oddany chorým, sam pełen życia, wysportowany, skromny, serdeczny przyjaciel i jakże wspinały człowiek. Nie potrafił nigdy nic dla siebie zorganizować, uczciwy do ostatnich granic. Wspinały przykład młodego pokolenia, które rosło na naszych oczach. Niestety, zginął w obozie Dora-Mittelbau, tuż po wyzwoleniu obozu przez Amerykanów. Wyniszczenie fizyczne i podobno nabyta gruźlica. Tak było w obozach. Jeden zły dzień, zły przydział pracy, jedno pobicie, decydowały o życiu. Po przybyciu w lecie 1945 roku do Krakowa spotkałem jego szwagra, a mego kolegę ze studiów dr. T.Ż. Pytano mnie o niego. Nic nie mogłem powiedzieć ponad to, że w początkach lutego 1945 rozstaliśmy się w Gross-Rosen. Był w dobrym stanie i myślę, że powinien przetrzymać i wrócić. Po kilku dniach otrzymałem od kolegi powiadomienie, że niestety nie żyje. Szczegóły śmierci opowiadał mi potem inny kolega, sanitariusz Mariański z Kielc, na którego rękach Stasiu wtedy zmarł.

Drugim studentem medycyny zatrudnionym w rewirze w Dyhernfurth II był student lwowskiej medycyny Józef Kisielewicz (nr 23177) z Zawonia. Przybył on około 18 marca 1944 roku do Dyhernfurth II transportem lwowskim, razem z młodszym bratem, ojcem i stryjkami, razem 5 osób, za pomaganie partyzantom. Razem cała rodzina i choroba płuc z krwotokami. Był jednym z najlepszych pracowników szpitala obozowego. Za możliwość pracy pod dachem, za możliwość leczenia chorego ojca, płacił pracą ponad siły, od świtu do późnej nocy. Podczas ewakuacji pozostał na ochotnika z chorymi, bo wśród nich miał chorego ojca. Przeżył gehennę wyniszczenia chorych w Dyhernfurth II. Stracił ojca w dalszych ewakuacjach. Jest dziś jednym z ostatnich żyjących świadków tej ponurej zbrodni, dokonanej na chorych więźniach. Zamordowano kilkuset chorych ludzi, tuż pod bokiem nadchodzącego frontu. Z ponad 600 chorych ocalało wtedy doraźnie tylko 25. Do dziś żyje jeszcze może trzech.

Następnym sanitariuszem był Władysław Opach (nr 8751) z Krakowa, student, kolega i przyjaciel Czarnka. Równie jak on pracowity i dokładny, równie tryskający życiem i wesołością. W razie potrzeby umiał przemawiać wspinałą krakowską gwarą. Przetrzymał obozy i wrócił do swego Krakowa. Odwiedził mnie kiedyś pod koniec lat sześćdziesiątych.

W lutym 1944 r. przybył z transportem radomskim młody gimnazjalista Zbigniew Mariański (nr 17603). Przyjęty do szpitala z krwiopluciem, jakoś szybko dźwigał się do życia. Przyjęty do pracy w rewirze, pracował ponad swe siły. Oddany chorým i sprawie polskiej. W Radomiu spełniał długo rolę łącznika RO w Górach Świętokrzyskich. W obozowym RO pełnił tę samą rolę. Do dziś jeszcze utrzymujemy łączność korespondencyjną.

Andrzej Kordaszewski (nr 8604), nazywany w obozie Krzywonosem, z powodu góralskiego nosa, pochodził gdzieś spod Limanowej. Artysta malarz i satyryk w wieku ponad 30 lat. Nie pamiętam już dziś, czy przybył do Dyhernfurth II jeszcze w 1943, czy też już w styczniu 1944 r. Był już wówczas dość chorowitym człowiekiem, jednak pełnym humoru i satyry, o wrodzonym wręcz wisielczym humorze. Dodawał nam radości życia w najgorszych czasach. Z pracy wywiązywał się bez zarzutu, chociaż był wrogiem wszelkiej systematyczności, tak bardzo potrzebnej w pracy sanitarnej. On nam pomagał organizować wieczorynki szpitalne. Jakoś przetrzymał obozy. Spotkałem go tylko jeden raz po wojnie, w Krakowie. Miał kłopoty ze zdrowiem. Umarł chyba jeszcze na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Antoni Hałaszyński (nr 216 – powtórzony). Przybył do Dyhernfurth II w drugiej połowie czerwca 1944 r. Do rewiru przyszedł jako chory, biegunka i dość znaczne wyniszczenie. Miał wtedy ok. 50 lat. Był rotmistrzem kawalerii. Kresowiak, z otwartym sercem i swoistym kresowym humorem zyskał sobie szybko naszą sympatię i doszkoliliśmy go w zawodzie sanitarnym, który spełniał po prostu z namaszczeniem, jakby się do tego zawodu urodził. Został także na ochotnika z chorymi. Przeżył wraz z nimi piekło ewakuacji. W czasie rozstrzeliwania chorych w Środzie Śląskiej, in periculo mortis próbował popełnić samobójstwo, przez rozgryzienie ampułki, mającej zawierać związek cyjanowy. Za jego pośrednictwem odkupiłem od jakiegoś powstańca warszawskiego za chleb trzy takie ampułki. Jedną dostał Hałaszyński, drugą odstąpiłem Czarnkowi, trzecią zatrzymałem dla siebie. Chwała Bogu preparat okazał się niezbyt czysty. W przypadku Hałaszyńskiego skończyło się utratą świadomości i jakimiś drgawkami. Tymczasem nadjechał patrol wojskowy, egzekucje wstrzymano, a Hałaszyńskiego odesłano do szpitala wojskowego, gdzie go odratowano i po kilku dniach odesłano do Gross-Rosen wraz z 24 innymi ocalałymi chorymi. Wojnę przeżył. Zmarł kilka lat później we Wrocławiu.

Dalszym sanitariuszem był młody uczeń gimnazjalny Kazimierz Niemiec (nr 23082). Pochodził gdzieś z Podkarpacia. Do szpitala dostał się jako chory, potem pozostał jako przyuczony sanitariusz. Bardzo sumienny i uczciwy w pracy, zawsze poważny. Jakoś ocalał. Po wojnie bezpośrednio odwiedził mnie dwa razy. Za drugim razem właściwie się pożegnał. Był już w habitcie. Wstąpił do klasztoru.

Feliks Jędrzejak (nr 16359) był właściwie też dość długo w stanie chorych, z powodu ogólnego wycieńczenia i następstw przesłuchań w gestapo, w tym uszkodzenie oka. Potem był przyuczonym sanitariuszem i pisarzem blokowym. Zawodowy major WP, szef oddz. org. RO w Radomiu. Wspólnie z Targowskim, pisarzem rewirowym, założyli komórkę RO w rewirze. Był bardzo pracowitym i wojskowo dokładnym. Pozostał z chorymi i tylko przypadkowo ocalał. Przetrzymał nawet obozy. Nie doczekał się jednak powrotu do kraju, zmarł niedługo potem na obczyźnie.

Z grupy radomskiego RO był jeszcze u nas sanitariuszem szef propagandy RO Antoni Bujalski (nr 17554), radomiak. Także przybył jako chory. Okazał się wspaniałym człowiekiem. Był bardzo pracowity, dobry dla chorych, miał także dar humoru i wspaniały operowy głos. Śpiewak amator. Głosem swym umilił nam niejedną wieczór obozowy. Był już niemłody, chyba po pięćdziesiątce. W obozie Dora-Nordhausen zmarł z wycieńczenia i biegunki.

Z tej samej grupy radomsko-kieleckiej pochodził jeszcze młody gimnazjalista Władysław Jagiełło (nr 16353), z powodu nazwiska nazywany przez nas Królem. Bardzo poważnie traktował swoją pracę. Niestety, nikt z kolegów nie zna jego losu.

Było jeszcze kilku młodych, bardzo dobrych sanitariuszy, o których nie zachowały się prawie żadne wiadomości. Byli to: Stefan Sysiak, Janusz Chłapczyński (nr 2648 – powtórzony), który uczył nas z uporem piosenki „Serce w plecaku”, oraz Leon Ziółkowski i Emil Wiącek (nr 23182). Tych ostatnich pamiętam jeszcze z drogi ewakuacyjnej. Któryś z SS-manów kazał im prowadzić ślaniającego się człowieka. Tak go prawie wlekli około 2 kilometrów. Kiedy już nie mogli kazano im wejść razem z chorym do fosy, w celu rozstrzelania. Tylko szybkiej ucieczce ostatkiem sił z fosy i naszemu krzykowi zawdzięczają, że wtedy uszli z życiem.

Często wspominam tę grupę najmłodszych pracowników szpitala w Dyhernfurth II. Oni napracowali się najwięcej fizycznie. Od świtu do wieczora szorowali podłogi, przynosili ciężkie kotły z jedzeniem, przynosili chorych, ładowali zwłoki w skrzyniach na auta. Znosili zabitych i zastrzelonych z komand i powieszonych z placu apelowego, a wieczorem zasypiali na stojąco. A byli zawsze honorowi i dokładni w pracy.

Aptekarzem naszego rewiru był od lata 1944 r. mgr Stanisław Orłowski, aptekarz z Wielunia. Numeru jego nie pamiętam; wiem tylko, że przyprowadził go chorego z komanda jego współtowarzysz Sowa (nr 305 – powtórzony). Po podleczeniu zaproponowałem mu pozostanie w rewirze jako aptekarz. Niewiele co prawda mieliśmy leków, ale i tym ktoś musiał gospodarzyć. Magister był przy tym aptekarzem starego typu. Doszkalał nas w ziołolecznictwie i praktycznej farmacji. Przeżył wojnę, wrócił do domu. Umarł po kilku latach.

Dentystów mieliśmy dwóch. Obaj byli Żydami i obaj mieli na imię Józef. Pierwszym, od 15 stycznia 1944 r., był Józef Ungier (nr 16114), z transportu polskich Żydów z Blechhammer. Miał ostatni numer z tej grupy. Pochodził z Krzepic. Był przyuczonym dentystą z małego miasteczka. Poza tym grywał na weselach i przy innych okazjach. Był doskonałym skrzypkiem amatorem i miał skrzypce przemycone do obozu. W ogóle wtedy, przy przyjmowaniu tego transportu Żydów do obozu, przemycili oni wiele rzeczy półoficjalnie. Po prostu dlatego, że z Blechhammer do Dyhernfurth przybyli kilka tygodni wcześniej, jeszcze do obozu pracy. Byli tam już pod strażą i byli w pasiakach,

jednak mieli jeszcze trochę rzeczy cywilnych, jak np. szaty liturgiczne służące do modłów rytualnych itp. Tego im przy przyjmowaniu do naszego obozu nie zabrano, bo u nas nie było tzw. Effektenkammer, czyli przechowalni prywatnych rzeczy więźniów. Rzeczy te zatrzymali i długo jeszcze potem, w niedziele wolne od pracy, można ich było obserwować modlących się grupkami w liturgicznych szatach. Tego w innych obozach nie obserwowałem. Drugim dentystą był, przybyły z grupą węgierskich Żydów, stomatolog wiedeński Josef Fischer. Oczywiście, w obozie nie trzeba było tak licznej obsady dentystrycznej, tym bardziej, że całe ich wyposażenie składało się tylko z kilku starych kleszczy i jakichś sond i drapaków, podarowanych mi przez lekarza zakładowego. Były jednak inne względy, pomijając przynależność do służby zdrowia. Mieliśmy trudności nieraz z porozumiewaniem się z Żydami przebywającymi w obozie i w szpitalu, a było ich już prawie 1000. Niektórzy starszy ludzie rozmawiali tylko po hebrajsku lub – w przypadku Żydów węgierskich – po hebrajsku i po węgiersku. Nie wolno nam było zatrudnić innych Żydów, a tych jako dentystów mogliśmy zatrudnić i, chociaż z trudem, ale uzyskaliśmy zgodę Lagerführera Brauera. Co się z nimi stało, nie wiem. Ungier doszedł do Gross-Rosen. Dokąd go później wysłano, nie wiem. Fischer pozostał z chorymi, sądząc, że nic im się nie stanie i zostaną przekazani Rosjanom. Niestety, stało się inaczej. Z pierwszą grupą chorych przybył do Środy Śląskiej. Kiedy tam zaczęto po kolei rozstrzeliwać chorych, wpadł w jakiś szok i zaczął po niemiecku wrzeszczeć, że jest Niemcem i dlatego rozstrzeliwują. Wtedy właśnie nadjechał tam patrol wojskowy i przywieziono go do naszej grupy, nocującej koło cukrowni. Rozmawiałem z nim wtedy i miałem pierwszą wiadomość, co stało się w Dyhernfurth II z chorymi. Po kilkunastu minutach ten sam patrol wojskowy podjechał motocyklem i zabrano go do szpitala wojskowego, gdzie stomatolog był potrzebny. Nie wierzył, opierał się i nie chciał odejść, podejrzewając podstęp. Wiemy jednak od Hałaszyńskiego, który w tym szpitalu spędził cztery dni, że rzeczywiście tam pracował. Podobno po wojnie widziano go w Polsce.

Sercem personelu szpitalnego w Dyhernfurth II był jednak Stanisław Targowski (nr 8424), pisarz i statystyk rewirowy. Warszawiak, już wówczas 52-letni, dziennikarz, były konsul RP w Jugosławii, były prezes NIK. Patriotą, fanatykiem, więzień Pawiaka i innych obozów. Wspaniały narrator i znawca historii. Zarzącał otoczenie patriotyzmem. Twierdził już wówczas, że Polska będzie co najmniej po Odrę i Nysę. Niewiernym, rozdawał nieprawdopodobne posady, a oni mimo całego nieprawdopodobieństwa, jednak po cichu wierzyli. Znam wypadek obdarowanego urzędem wojewody wrocławskiego. Wtedy śmialiśmy się z tego, ale temu człowiekowi przyszło naprawdę żyć i umrzeć właśnie we Wrocławiu. Inny, obdarowany tytułem komendanta wojskowego w Hamburgu, był skłonny nawet wierzyć. Mnie też pewnej nocy Stasiu chciał powierzyć „misję” specjalnego kuriera do Pana Prezydenta w Warszawie, ale

zaczęłam się tak strasznie śmiać, że został od razu „spalony”. Poznaliśmy się właściwie jeszcze w jesieni 1943 roku w Gross-Rosen, przy odbieraniu poczty w bloku 5, do którego wtedy obaj należeliśmy. Blokowy oddał mi dwa listy jednakowe, z takim samym nadrukiem z oflagu Dössel im Westfalen. Okazało się, że obaj mamy braci w tym samym oflagu, w tym samym bloku i w tej samej izbie, a tu też liczymy się do tego samego bloku. Była więc okazja do bliższego poznania. I tak Targowski zaczął mnie odwiedzać wieczorami w rewirze, i zaprzyjaźniliśmy się. Kiedy przybył do Dyhernfurth, przyprowadził go do mnie Drabek. Czego się nie robi dla przyjaciół. Okazało się, że w rewirze brak nam jeszcze pisarza blokowego. Od tej decyzji byłem po części sam pisarzem. Podczas jednego z pierwszych raportów Stasiu popełnił błąd. Dobrze, że wyjaśnił się on jeszcze przed wyjściem SDG z meldunkiem. Poprawiliśmy natychmiast i wzięliśmy to na siebie. Ale co by było, gdyby się okazało, że zrobiliśmy fałszywy meldunek, strach pomyśleć. Od tego czasu nigdy nie przepuściłem żadnego meldunku bez kontroli. Nie chciałem wpadki. Polubiliśmy się bardzo. Miał dobrą pamięć. Znał wiele spraw polskich przedwojennych zza kulisy polityki. Lubiałem go słuchać. Mimo wieku swego trzymał się dzielnie. Pojechał w czasie ewakuacji do obozu Dora-Mittelbau. Tam pracował jako pisarz w wydziale politycznym. Zbliżał się koniec wojny. Już tylko dni dzieliły obóz od oswobodzenia. Wszędzie politykowali. Nie wiedzieli, że mieli założony podsłuch. Wpadli wszyscy, 30 ludzi. Wszystkich powieszono. Trzeba przyznać, że Stasiu umiał żyć i umiał umrzeć! Kiedy tamtejszy Lagerführer zaczął odczytywać wyrok, a pierwsza partia z Targowskim stała już z pętlami na szyi na stołkach, Targowski plunął w twarz Lagerführerowi, zawołał głośno „jeszcze Polska nie zginęła” i wykopał stołek. Wtedy przerwano egzekucję, pozostałym powsadzano krótkie patyki do ust i wtedy dopiero powieszono. Następnym doprowadzono dopiero po zagipsowaniu ust. Tego dowiedziałem się od naocznych świadków, Mariańskiego i Drabka. No cóż – umiał umrzeć jak Polak!

Nie trzeba podkreślać, że w takim zespole pracowało się dobrze i skutecznie. Było się kogo poradzić, było z kim porozmawiać, każda praca była wykonywana w mig, każdy umiał się podzielić z kolegą tym, co miał, a najważniejsze – nie było okradania chorych.

Rewir posiadał bardzo duże potrzeby i niewiele mniejsze braki. Brakowało miejsc dla chorych, brakowało koców, pościeli, bielizny. Podobozy Gross-Rosen były bardzo skromnie wyposażane i źle zaopatrywane. Obóz powiększał się i rozrastał, a nie był do tego przygotowany. Odbijało się to przede wszystkim na komandach zewnętrznych, dokąd dosyłano najgorsze łachy, zniszczone mundury, podartą bieliznę, całkowicie zniszczone obuwie. Najgorzej było z zaopatrzeniem aptecznym. Zaopatrzenie było nieregularne i zupełnie niewspółmierne w stosunku do potrzeb. Przez zaopatrzeniowca kantyny, SS-mana Bayera, kilkakrotnie prosiliśmy o leki i materiały

sanitarne, ale bez skutku. Kiedy jednak płaciliśmy mu za dostawy papierosami lub markami, w czym nam skutecznie pomagał kol. Drabek z kantyny, wtedy coś tam przywoził. Twierdził, że podbierał z innych komand. Myślę, że wtedy korupcja doszła już do takich granic, że nic nie było za darmo. Kiedy czytam wypowiedzi kol. Mołdawy, jak to nielegalnie do Dyhernfurthu wysyłano z Gross-Rosen leki i materiały sanitarne, muszę temu stanowczo zaprzeczyć. Nic takiego nie było. Dopóki paczki z domów przychodziły do więźniów dość regularnie, a wszystkie leki z paczek trafiały do rewiru, zawsze magister Orłowski coś tam mógł nam przygotować do obchodu chorych. Segregował także różne zioła i przygotowywał napary. W ostateczności pozostawała zebranina u lekarza zakładowego i tam byłem coraz częstszym gościem. Nie było to łatwe, ponieważ nasze potrzeby były kolosalne. Na stan 600 chorych dziennie, przynajmniej połowie coś trzeba było jednak dać ze środków farmakologicznych. Stosowaliśmy dużo fizykoterapii i terapii domowo-ludowej. A więc codziennie były w użyciu bańki, nacierania, nagrzewania, zawijania, ćwiczenia i inne. Przekonałem się jak wiele można czasem osiągnąć tak prostymi sposobami.

W lecie 1944 roku, dzięki interwencji lekarza zakładowego w dyrekcji zakładów „Anorgana”, dostaliśmy zezwolenie na zakup, na koszt fabryki, leków w 8. składnicy sanitarnej okręgu SS w Środzie Śląskiej (SS-Hauptsanitätspark nr. 8 in Neumarkt). Pojechałem tam z naszym SDG Peterkiem, z odpowiednim pismem. Zabrałem długą listę potrzebnych rzeczy i trochę papierosów od Drabka. Była to mocna dewiza w ówczesnych czasach, kiedy przydziały oficjalne na papierosy wynosiły 3 sztuki dziennie. Zaobserwowałem jak jeden z oficerów, którego tytułowano Stabsapotheker, dzielił papierosa na dwie części. Bezcelnie podszedłem i położyłem pełne opakowanie 100 szt. papierosów drava, jugosłowiańskiego pochodzenia i zaproponowałem, żeby popróbowował, czy to można palić. Był trochę speszony, ale też i uradowany. Podałem mu swoje zapotrzebowanie i wyjaśniłem, co potrzebujemy. Zawołał mojego konwojenta i zaproponował, żeby się przejść po magazynie razem i zorientować się, co można otrzymać, bo nie wszystko można będzie dostać. Były tam w kilku budynkach bardzo duże składy leków i materiałów opatrunkowych. Uzgodniliśmy, że w dniu dzisiejszym odbierzemy tylko niewielką część, natomiast po resztę przyjedziemy za tydzień. Podczas tego „spaceru” uzgodniłem, że następnym razem, gdy przyjedziemy, to gdyby mnie nie było, znajdzie w opakowaniach zwrotnych, w skrzyni oznaczonej czerwonym krzyżem, 1 karton papierosów. Po tygodniu pojechaliśmy po raz drugi. Ten sam człowiek towarzyszył nam, gdy się zgłosiliśmy do kancelarii. Najpierw dokonał „odbioru” opakowań zwrotnych. Potem wyszedł z magazynu i według przygotowanego spisu kazał nam ładować na wóz przygotowane i czekające na nas leki. Kiedy skończyliśmy ładować, powiedział mi, przechodząc, żebym zwrócił uwagę na ciemną butelkę z takim samym znakiem czerwonego krzyża.

Odnalazłem ją już w domu. Był to czysty spirytus, z oznakowaniem „cresolum crudum”. Oczywiście, tak pomyślnie załatwienie sprawy zawdzięczałem jedynie koledze Drabkowi. On nam dał papierosy na ten cel. Jak się z tego rozliczył, nie wiem i nie pytałem nigdy. My, ani ja, ani moi koledzy, nie mogliśmy nawet śnić o takim wydatku, bo nie mieliśmy na to.

Poza tym, z Werku od lekarza wycygaiałem stale materiał opatrunkowy, bo tego na ogół mieli dość dużo. Były to jednak przeważnie bandaże papierowe i nieco muślinu na gazę. Kiedyś zobaczyłem cały pokój magazynowy załadowany zastrzykami glukozy i urotropiny. Zapytałem lekarza, po co takie duże ilości, zwłaszcza urotropiny. Zawahał się i potem jednak odpowiedział. Przy takiej produkcji, jaką prowadzi nasz zakład, potrzeba tego bardzo dużo na wypadek nieszczęścia, a przy pracach zagrożonych stosujemy je nawet zapobiegawczo. Proszę sobie wziąć po kartonie na wszelki wypadek. Zabrałem po jednym dużym kartonie. Potem SDG, który mnie konwojował, wypożyczył gdzieś wózek, aby to przyciągnąć do obozu. Glukoza przydała się bardzo. Niedługo potem w ciągu jednego tygodnia miałem dwa ciężkie krwawienia żołądkowe u wrzodowców, niedawno dostarczonych do obozu. Nie mogli nic jeść. Byli na ścisłej diecie. Zimne okłady i duże porcje glukozy uratowały obydwóch. Były to jedyne obserwowane przeze mnie ostre ataki choroby wrzodowej w obozach. Zatrucć zawodowych nie obserwowaliśmy u nas. Były inne, o czym nieco później.

Więcej już nigdy zakład fabryczny nie zgodził się na zakup leków dla nas. SDG Peterek twierdził, że sam komendant indagował go dlaczego tak dużo zakupiliśmy, bo fabryka żądała od SS zwrotu wydanych pieniędzy. Komendant odmówił, twierdząc, że on ich o to nie prosił. No więc, udało się tylko raz i do późnej jesieni byliśmy jako tako zaopatrzeni, a potem to już naprawdę prawie nic nie było, bo w związku z sytuacją wojenną przestały przychodzić paczki i zakończyły się leki z paczek.

Zresztą, nawet nie leki były najważniejsze. Najważniejsze było jedzenie. Tymczasem jedzenia nie było. Na podstawie naszych dziennych racji żywnościowych, nie tych na papierze, ale tych otrzymywanych praktycznie, spisywałem mniej więcej dokładnie to, co otrzymywaliśmy i obliczałem kaloryczność jedzenia, stosując wartości kaloryczne według Strausa. Było to jeszcze wtedy, kiedy chorzy nie otrzymywali tzw. drugiego śniadania. Wychodziło mi z tych obliczeń, że chorzy nie otrzymujący tzw. drugiego śniadania, traktowanego jako dodatek dla pracujących, otrzymują dziennie około 1140 kalorii, a pracujący – 1350-1495 kalorii dziennie, zależnie od tzw. dodatku tego dnia przypadającego. Oczywiście, inna była kaloryczność, kiedy dostawało się jako dodatek małą łyżkę marmolady, a inna kiedy był plasterek końskiej kiełbasy czy mała łyżka smalcu. Postaram się odtworzyć te obliczenia:

I śniadanie:

ok. 500 g cienkiej zupy avo  
było w niej: ok. 15 g mąki = 48 kal.  
ok. 5 g cukru = 20 kal.  
ok. 5 g tłuszczu = 40 kal.  
razem ok. 108 kal.

II śniadanie:

chleb 50 g = 90 kal.  
25 g kiełbasy końskiej = 60 kal.  
10 g margaryny = 79 kal.  
razem 229 kal.

Obiad:

ok. 1000 g cienkiej zupy  
było w niej: ok. 300 g kartofli = 234 kal.  
ok. 400 g brukwi itp. = 72 kal.  
10 g mięsa końskiego = 10 kal.  
5 g tłuszczu = 40 kal.  
razem ok. 356 kal.

Kolacja:

350 g czarnego chleba = 623 kal.  
10 g cukru do herbaty lub kawy = 40 kal.  
różne dodatki:  
np. 15 g margaryny = 130 kal.  
25 g marmolady = 13 kal.  
25 g sera = 20 kal.  
25 g kiełbasy końskiej = 60 kal.  
15 g smalcu = 132 kal.  
razem (zależnie od dodatku) 676-683-723-793-795 kal.

W sumie chorzy bez dodatku dla pracujących mogli otrzymać dziennie od 1140 do 1259 kalorii. Pracujący – od 1369 do 1488 kalorii.

Człowiek pracujący powinien w najgorszych warunkach otrzymać co najmniej 3 razy więcej, a nie pracujący w ogóle – co najmniej 2 razy więcej, aby nie popaść w ujemny bilans.

Mniej więcej wtedy właśnie zostałem znów wezwany do komendanta Brauera w sprawie zbyt dużej liczby chorych. Zapytałem go uprzejmie, czy mogę mówić otwarcie. Odpowiedział, że po to mnie wezwał. Opowiedziałem mu dokładnie i pokazałem wyliczenie. Zapytał skąd miałem wagę. Odpowiedziałem mu, że do tego nie potrzeba wagi, wystarczy zwykła łyżka lub łyżeczka i normalne wyliczenie według od wieków ustalonych zasad. Człowiek nie może



żyć wbrew zasadom fizjologii. Ty jesteś bezczelny – powiedział mi – jesteś tu po to, żeby leczyć, od liczenia są tu inni.

A my byliśmy jeszcze z tych skromnych porcji okradani. Dlatego wszędzie tam, gdzie pracowałem w rewirach, tak wielką wagę przywiązywałem do sprawiedliwego rozdawania i dzielenia jedzenia. To była podstawa wszystkiego. W Dyhernfurth nie wszyscy otrzymywali paczki żywnościowe. Praktycznie tylko Polacy i to już wtedy tylko ci z zachodniej części Polski. Żydzi i Rosjanie nigdy paczek nie otrzymywali. Zatem nie więcej niż 15% więźniów korzystało jeszcze z paczek żywnościowych. W 1944 r. otrzymałem tylko dwa razy małą paczkę od brata z oflagu. Nie otrzymywałem już nic z domu od matki ani od siostry z Białegostoku. Nie otrzymywałem też żadnej poczty i nie miałem żadnych wiadomości.

Po kilku dniach od ostatniej rozmowy z komendantem na temat jedzenia, pewnego dnia niespodziewanie przyznano nam dodatek śniadaniowy dla chorych, taki sam jak dla pracujących. 229 kalorii dziennie więcej. Cóż to w sumie znaczy? Po niedługim czasie znowu miałem pecha podpaść komendantowi. Wraz z SDG poszliśmy na lustrację sanitarną obozu. Kiedy weszliśmy do kuchni, byłem świadkiem jak kucharz SS-man, w części kuchennej więźniarskiej, odkroił z mięsa co lepsze mięso, zostawiając same kości, i zaniósł to do części kuchennej dla SS i po podzieleniu wrzucił na elektryczne patelnie. Zapytałem SDG, które mięso jest dla więźniów, a które dla SS-manów. Kucharz wskazał. Wtedy zapytałem SDG, po co kucharz zabrał mięso więźniów do smażenia, przecież my kotletów nie jadamy. Właśnie wtedy wszedł komendant Brauer i przysłuchiwał się rozmowie. Wrzasnął na kucharza SS-mana, żeby się natychmiast wytłumaczył. Ten spokojnie tłumaczył się, że dla dobra więźniów, żeby zupa była lepsza, on stosuje niezawodny sposób, a mianowicie najpierw mięso podsmaża, a kiedy nabierze już zapachu, wtedy dzieli na części i wrzuca to do kotła i gotuje dalej, wtedy zupa jest wspólna. Ponieważ w kuchni dla więźniów nie ma patelni, mięso smaży w kuchni SS. Nasz komendant zbeształ mnie wtedy straszliwie i zabronił w ogóle wchodzić do kuchni.

Paczki przychodzące jeszcze do niektórych więźniów dzielił zwykle w kantinie sam komendant Brauer. Asystował mu zwykle Rapportführer Jirzak. Przychodziło na tę okazję często dużo więźniów, aby choć z daleka zobaczyć jak wygląda paczka domowa. Przychodzili oczywiście i blokowi, i kapowie, aby coś otrzymać od komendanta z tego, co okrawał innym, lub też, aby wiedzieć kto, co i ile otrzymał. Wiadomo, że otrzymujący paczkę musiał się swoim przełożonym okupić, inaczej mogła to być ostatnia jego paczka. Pewnego dnia poszedłem do kantyny, kiedy się właśnie dzielenie paczek zakończyło. Drabek dostał właśnie „mordobicie” od Jirzaka. Zapytałem, co się stało. Odpowiedział mi, że z jakiejś paczki wypadła stara gazeta. Jirzak kazał ją podnieść, bo gazety były niedozwolone. Było tam zdjęcie gen. Sikorskiego. Jirzak na-

zwał go „polnischer Oberbandit”. Drabek odezwał się po polsku, że nie bandyta, tylko były Wódz Naczelny. Jirzak umiał po polsku bardzo dobrze, i wtedy go sprął.

U nas w rewirze dzielił Peterek. Zresztą paczek było mało. Odbywało się to na oczach chorych, na salach chorych. Okrawał niewiele; znacznie mniej niż w obozie. Chorzy po cichu coś zawsze odkładali z paczek, najczęściej papierosy, tytoń lub słodycze dla SDG.

Choroby obozowe: Jak wszędzie w obozach, tak i tu w Dyhernfurth, najwięcej było chorób wynikających z ogólnego wygłodzenia i wyniszczenia organizmu, tzw. w obozach muzułmaństwa obozowego, czyli w sumie była to choroba głodowa. Niemcy to nazywali *allgemeine Körperschwäche*. Trzeba jednak bezstronnie przyznać, że tak znacznych obrzęków głodowych jak w Oświęcimiu i Gross-Rosen, z nekrozami palców, skóry, moszny itd., w Dyhernfurth II nie obserwowałem. Nie wiem, dlaczego. Może rzeczywiście o ileś tam kalorii żywienie było lepsze, może rzeczywiście nieco mniej okradano, a może przyczyna leżała gdzie indziej, po prostu dostawialiśmy coraz to nowych przybyszów, jeszcze nie wyniszczonych obozami. Za tym przemawiałby fakt znacznie gorszego stanu zdrowotnego Żydów, zwłaszcza polskich, którzy już od dawna byli w obozach i częściej niż inni chorowali, i więcej ich umierało.

Jak wiadomo, chory wycieńczony jest pozbawiony także sił odpornościowych i każda drobna infekcja czy byle błaha i pospolita choroba, katar, przeziębienie, staje się poważną i często ostatnią w życiu. W związku z licznymi urazami, spowodowanymi przede wszystkim biciem, urazami w pracy, od zniszczonych i niewygodnych butów, od ubrania oraz w związku z obniżoną lub zanikłą do ostateczności odpornością powstawały rozległe infekcje i zakażenia, nieraz powodujące rozległe ropowice, czyli *phlegmony*. Spraw ropnych było bardzo dużo. Przy poważniejszych nie wystarczało wczesne operowanie, dużo pacjentów w ten sposób traciło życie. Życie dosłownie wyciekało z nich z potokami ropy. Organizm tworzył ją kosztem białek organizmu, który nie miał już żadnych rezerw życiowych.

Spraw urazowych ciężkich, jak złamania itd., było znacznie mniej. Pamiętam kilka złamanych kostek, typowych złamań przedramienia i tylko jedno złamanie obu nóg, leczone zresztą w opatrunku gipsowym, ale chorego zastrzelono w czasie ewakuacji. Oczywiście, każde zaostrenie reżimu obozowego czy pracy, czy jakiegokolwiek przeciąganie apelu powodowało zawsze zwiększoną chorobowość. Tak samo złe warunki pogody, wiatr od rzeki, deszcz, powodowały natychmiast zwiększenie zapaleń płuc, opłucnej, wznowienie procesów gruźliczych itd. Wiadomo, że choroby te są ciężkie w każdych warunkach, tym bardziej w obozowych. Poza tym bloki mieszkalne nie były ogrzewane. Ludzie grzali mury własnym ciepłem.